

**John W. Campbell**

**Kim jesteś?**

*Przełożyła Stefania Szczurkowska*

# 1

Wszędzie cuchnęło. Przedziwny, przyprawiający o mdłości smród, na jaki natknąć się można tylko w skutych lodem barakach antarktycznego obozu, był mieszaniną zaduchu, parującego ludzkiego potu i intensywnego fetoru stopionego foczego łożu: Odór mazidła walczył ze stęchłym smrodem zmoczonych potem i śniegiem futer. Powietrze wypełniał drażniący swąd przypalającego się gotowanego tłuszczu, tłumiąc całkiem już przyjemny zapach psów.

Dołączał się do tego odór oleju maszynowego, kontrastujący ostro z obrzydliwą wonią garbowanej skóry i rzemieni na uprząż. Mimo wszystko z owego pomieszanego fetoru istoty ludzkich, psów, maszyn, kuchni wybijało się coś jeszcze obrzydliwszego. Była to woń osobliwa, od której włos jeżył się na głowie – woń obca w świecie rzeczy i ludzi: I był to zapach istoty żywej, pochodził jednak z czegoś, co leżało na stole, związane sznurem i zawinięte w brezent; z czegoś, co ociekało powoli i systematycznie na masywne deski, mokre i nędzne, w nie osłoniętym, oślepiającym świetle elektrycznym.

Blair, biolog wyprawy; niski i łysy jak kolano, szarpnął nerwowo tkaninę, odsłaniając ciemny łód, i natychmiast gorączkowo naciągnął brezent z powrotem. Jego drobne, ptasie ruchy, wykonywane z tłumioną gorliwością, odbijały się tańczącym cieniem na brzegach zawieszonych pod niskim sufitem brudnoszarej bielizny. Równiutki kosmyk siwiejących włosów opasujących jego łysą czaszkę otaczał komiczną aureolą ocienioną głowę.

Komendant Garry podszedł do stołu, odsuwając na bok zwisające luźno nogawki bielizny. Wolno przebiegał oczyma ludzi, ściśniętych jak śledzie w beczce wewnątrz budynku administracyjnego. Jego wysoka postać wyprostowała się wreszcie.

– Trzydziestu siedmiu. I wszyscy tutaj – skinał głową. Mówił niskim głosem, którego ton zdradzał wyraźne oznaki władzy wynikające tak z charakteru, jak i z funkcji dowódcy.

– Znacie w skrócie historię tego znaleziska, na które natknęła się Druga Wyprawa Polarna. Naradzałem się już z moim zastępcą McReadym i z Norrisem, jak również z Blairem i z doktorem Copperem. Są różnice zdań, a ponieważ dotyczy to całej grupy, sprawiedliwość wymaga, aby wypowiedzieli się wszyscy uczestnicy wyprawy.

– Poproszę McReady'ego o podanie wam szczegółów tej historii, ponieważ byliście wszyscy zbyt zajęci własną pracą, by dokładnie śledzić działania innych. McReady?

Wyłoniwszy się z niebieskiego od dymu dalszego planu, McReady – jak postać z jakiejś zapomnianej baśni, jak majacząca groźnie statua z brązu, w której trwało życie – ruszył w ich stronę. Miał sześć stóp i cztery cale wzrostu. Zatrzymał się przy stole, a potem wyprostował, w charakterystyczny sposób spoglądając w górę, aby upewnić się, czy pod belkami niskiego stropu wystarczy miejsca na głowę. Miał wciąż na sobie gruby, wściekle pomarańczowy skafander, który na jego olbrzymim ciele wyglądał wcale nieźle. Nawet tutaj, pod dachem, cztery

stopy od nanoszącego śnieg wiatru, hulającego po antarktycznej pustyni, wdzierał się ziąb zamarznętego łądu, tłumacząc szorstkość tego człowieka. Człowieka z brązu, z wielką rudobrazową brodą i bujnych włosów tego samego koloru. Z brązu miał dłonie, żylaste, jakby owinięte powrozami, które na przemian zaciskały się i otwierały. Nawet głęboko osadzone pod grubymi brwiami oczy wyglądały jak odlane z brązu.

Z ostrych, twardych rysów jego twarzy i dźwięcznych tonów niskiego głosu, dawało się odczytać stalową wytrzymałość, która nie zmniejszała się z latami.

– Norris i Blair zgadzają się co do jednego: zwierzę, które znaleźliśmy, nie pochodzi z Ziemi – powiedział. – Norris obawia się, że może w tym tkwić jakieś niebezpieczeństwo. Blair twierdzi, że nie ma żadnego.

Wróć jednak do tego, w jaki sposób i dlaczego znaleźliśmy to stworzenie. Zanim tu przybyliśmy, wydawało się, że punkt ten znajduje się dokładnie na południowym biegunie magnetycznym Ziemi. Igła kompasu skierowana jest prosto w dół, wszyscy o tym wiecie. Bardziej czułe przyrządy fizyczne, przyrządy sporządzone specjalnie na tę wyprawę w celu badania pola magnetycznego, wykryły dodatkowe oddziaływanie – dodatkowe i słabsze pole magnetyczne znajduje się około osiem – dziesięciu mil stąd na południowy zachód.

Druga Wyprawa wyruszyła, aby je zbadać. Nie ma potrzeby wchodzenia w szczegóły. Znaleźliśmy źródło, chociaż nie był to ani olbrzymi meteoryt, ani magnetyczna góra, którą Norris spodziewał się odkryć. Oczywiście, że ruda żelaza jest magnetyczna, żelazo bardziej, a niektóre specjalne rodzaje stali jeszcze bardziej. Z pomiarów powierzchniowych wynikało, że odkryty drugi biegun jest mały: tak niewielki, iż jego oddziaływanie magnetyczne ma wprost śmieszna wartość. Żadna ze znanych substancji magnetycznych nie oddziaływałaby w taki sposób. Sondowanie wykazało, iż pole znajduje się na głębokości stu stóp pod powierzchnią łądolodu.

Uważam, że powinniście wiedzieć, jak wygląda to miejsce. Van Wall mówi, że jest tam rozległy płaskowyż, równinna przestrzeń ciągnąca się na odległość ponad stu pięćdziesięciu mil dokładnie na południe od Drugiej Bazy. Nie miał czasu ani paliwa, by lecieć dalej, lecz stwierdził, że równina biegnie dokładnie na południe. Właśnie tam, gdzie to coś było ukryte, znajduje się grzbiet zatopionego pod lodem łańcucha górskiego – granitowy, niewzruszony mur, udaremniający ruch lodów napierających od południa.

Dokładnie czterysta mil stąd na południe znajduje się płaskowyż Bieguna Południowego. Pytaliście mnie przy różnych okazjach, dlaczego ociepla się tu, kiedy nasila się wiatr, i większość z was wie dlaczego. Jako meteorolog założyłem, że nie ma takiego wiatru, który mógłby wiać przy minus sześćdziesięciu stopniach, że tylko wiatr o prędkości mniejszej niż pięć mil mógłby wiać przy minus pięćdziesięciu, nie powodując ocieplenia wskutek tarcia o podłoże, śnieg, lód, no i o samo powietrze.

Przez dwanaście dni obozowaliśmy na krawędzi tej pogrążonej w lodzie góry. Wkopaliśmy

obozowisko w głąb niebieskiego lodu, którego większość odparowaliśmy. Przez dwanaście dni z rzędu wiatr wiał z prędkością czterdziestu pięciu mil na godzinę. Wzrastała ona nawet do czterdziestu ośmiu, a czasami spadała do czterdziestu jeden. Temperatura wynosiła minus pięćdziesiąt trzy stopnie. Wzrastała do minus pięćdziesięciu i spadała do minus pięćdziesięciu ośmiu. Z meteorologicznego punktu widzenia było to niemożliwe, a trwało nieprzerwanie przez dwanaście dni i dwanaście nocy.

Gdzieś dalej na południu zmrożone powietrze z płaskowyża Bieguna Południowego ześlizguje się po lodowcu z tej liczącej osiemnaście tysięcy stóp czaszy do górskiej przełęczy, skąd kieruje się na północ. Musi istnieć jakiś lejowaty łańcuch górski, który kieruje je i porywa na odległość czterystu mil, aby ugodziło w ten otwarty płaskowyż, na którym odkryliśmy drugi biegun. Trzysta pięćdziesiąt mil dalej na północ powietrze dociera do Południowego Oceanu Lodowatego.

Ocean jest zamrożony od czasu, kiedy dwadzieścia milionów lat temu zamarzała Antarktyda. Nie było nigdy odwilży.

Antarktyda zaczęła zamarzać dwadzieścia milionów lat temu. Badaliśmy, myśleliśmy, spekulowaliśmy. Przypuszczamy, że stało się coś takiego:

Coś przyleciało z Kosmosu, jakiś statek. Widzieliśmy go tam, w niebieskim lodzie, coś w rodzaju łodzi podwodnej bez kiosku i sterów wysokości, o długości dwustu osiemdziesięciu stóp i średnicy czterdziestu pięciu w najgrubszym miejscu.

– No i co ty na to, Van Wall? Z Kosmosu?!

– Tak, ale dokładniej wyjaśnię to później – ciągnął McReady pewnym głosem.

– Statek przyleciał z przestrzeni, sterowany i unoszony dzięki siłom nie odkrytym jeszcze przez człowieka, i jakimś trafem – może coś się wówczas popsulo – wpadł w ziemskie pole magnetyczne. Przyleciał tu na południe, prawdopodobnie w sposób nie kontrolowany, okrążając biegun magnetyczny. To dzika kraina, ale gdy Antarktyda wciąż jeszcze zamarzała; musiała być tysiąc razy dziksza. Kiedy ląd ulegał zlodowaceni, powstawały tu śnieżne zamiecie, wiry, zasy i opady świeżego śniegu. Trąby powietrzne musiały być szczególnie silne, a wiatr gęstym, białym całunem okrywał krawędź schowanej teraz góry.

Statek uderzył dziobem w potężny granitowy mur i roztrzaskał się. Nie wszyscy pasażerowie ponieśli śmierć, pojazd za to musiał ulec zniszczeniu, a mechanizm napędowy zablokowaniu. Norris przypuszcza, że statek dostał się w ziemskie pole magnetyczne. Żadne dzieło istot inteligentnych nie może dostać się we wpływ potężnych sił przyrody tej planety i nie ulec zniszczeniu.

Jeden z pasażerów wy dostał się na zewnątrz. Prędkość wiatru, który tam przeżyliśmy, nigdy nie spadała poniżej czterdziestu jeden mil, a temperatura nigdy nie wzrastała powyżej minus pięćdziesięciu stopni. Wtedy wiatr musiał być jeszcze silniejszy. Pędzony wiatrem śnieg tworzył

grubą pokrywą. Po zrobieniu kilku kroków stworzenie się zgubiło. – McReady przerwał na chwilę; głęboki, mocny głos ustąpił miejsca huczącemu w górze wiatrowi i niespokojnemu, złośliwemu bulgotaniu w kominie kuchennego pieca.

Nad głowami szalał wichur. Poderwany zawodzącym wiatrem śnieg mknął poziomymi, oślepiającymi smugami w poprzek frontowej części zakopanego obozu. Gdyby ktoś wyszedł z podziemnego korytarza łączącego poszczególne baraki pod śniegiem, zgubiłby się po zrobieniu kilku kroków. Na zewnątrz, na wysokość trzystu stóp wznosiła się w górę smukła, czarna szpila radiowego masztu, którego wierzchołek sięgał czystego nocnego nieba. Nieba; pod którym słaby, jęczący wiatr pędził jednostajnie z jednego krańca na drugi, pod osłoną wijącej się ognistym językiem zorzy polarnej. W oddali horyzont płonął dziwacznymi, wściekłymi kolorami brzasku o północy. Tak wyglądał świt na wysokości trzystu stóp nad Antarktydą.

Niżej panowała biała śmierć. Śmierć kłującego jak igły zimna, pchanego falą wiatru, wysysającego ciepło ze wszystkiego, co było ciepłe. Ziab i biała mgła wiecznie trwającej zamieci, drobinek pędzącego śniegu, który zaćmiewa wszystko.

Kinner, niewysoki kucharz o pełnej blizn twarzy, skrzywił się. Pięć dni temu wyszedł na powierzchnię, aby wydostać ukryty zapas zamrożonej wołowiny. Wyciągnął go i zaczął wracać, kiedy poczuł gwałtowny podmuch południowego, mrozącego śnieg wiatru. Zimna, biała śmierć, którą powiało po ziemi, oślepiła go po dwudziestu sekundach. Błądził w kółko jak oszalały. Dopiero po pół godzinie ubezpieczeni linami ludzie z obozu znaleźli go w nieprzebytych ciemnościach. Łatwo było człowiekowi – czy stworzeniu – zagubić się już po kilku krokach.

– Niosący śnieg wiatr był wtedy prawdopodobnie jeszcze bardziej niepokonany niż ten, który znamy. – Słowa McReady’ego ożywiły pamięć Kinnera. Przypomniał sobie powitania, przejmująco wilgotne ciepło budynku administracyjnego. – Pasażer statku także nie był, jak się okazuje, do tych warunków przygotowany. Zamarzł w odległości dziesięciu stóp od statku.

Kopaliśmy przejście, aby dotrzeć do statku, i przypadkowo natknęliśmy się na zamrożone stworzenie. Barclay rąbnął je w czaszkę toporem do cięcia lodu.

Kiedy zobaczyliśmy, co to było, Barclay wrócił do parowego traktora, uruchomił go, i kiedy wzrosło ciśnienie pary, wezwał Blaira i doktora Coppera. Sam źle się wtedy poczuł. Rzeczywiście chorował przez trzy dni.

Kiedy zjawili się Blair i Copper, wycięliśmy bryłę lodu ze stworzeniem w środku, jak je widzicie, owinęliśmy ją i załadowali na traktor w drogę powrotną. Chcieliśmy jeszcze dostać się do tamtego statku.

Dotarliśmy do burty i odkryliśmy, że była z metalu, którego nie znamy. Nasze antymagnetyczne przyrządy ze stopu berylowego nie ruszyły go. Barclay miał w traktorze jakieś stalowe narzędzia, ale i one nawet go nie drasnęły. Przeprowadziliśmy odpowiednie testy, użyliśmy też kwasu z akumulatora, ale bez skutku.

Musieli przeprowadzić pasywację, aby uodpornić w ten sposób magnezowy metal na kwas. Stop zawierał co najmniej dziewięćdziesiąt pięć procent magnezu. Nie wiedzieliśmy jednak o tym, dlatego gdy zauważyliśmy otwartą komorę śluzową włazu, wycięliśmy ją naokoło. W jej wnętrzu, do którego nie mogliśmy się dostać, był tylko twardy lód. Przez małą szczelinę zajrzeliśmy do środka i zobaczyliśmy tam tylko metal i narzędzia. Dlatego zdecydowaliśmy się wzruszyć lód za pomocą materiału wybuchowego.

Mieliśmy ładunki dekanitowe i termit, który działa na lód zmiękczająco. Dekanit mógłby zniszczyć cenne przedmioty, podczas gdy żar termitu stopiłby tylko lód. Doktor Copper, Norris i ja umieściliśmy dwudziestopięcioletni ładunek termitowy, założyliśmy przewody i zabraliśmy zapalnik aż na powierzchnię, gdzie czekał traktor parowy Blaira. W odległości stu jardów, po drugiej stronie granitowej ściany odstrzeliliśmy ładunek.

Magnezowy metal oczywiście się zapalił. Ogień wybuchu rozbłyskiwał i przygasał, po czym wybuchł płomieniem. Wróciliśmy biegiem do traktora. Oślepiające światło wzmagало się coraz bardziej. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, mogliśmy obserwować całe pole lodowe, iluminowane z dołu światłem jasnym nie do wytrzymania; cień statku kładł się ogromnym, ciemnym stożkiem, skierowanym na północ, gdzie mrok już mijał. Trwało to jeszcze przez chwilę. Naliczyliśmy trzy kolejne tajemnicze stwory, którymi mogli być zamrożeni pozostali pasażerowie. Następnie lód zaczął łamać się z trzaskiem i kruszyć o statek.

Dlatego właśnie opowiedziałem wam o tym miejscu. Wiatr, który miótł śniegiem z bieguna, mieliśmy za plecami. Płomienie pary i wodoru zostały rozdarte w białą lodową mgłę. Żarzące się pod lodem ciepło uchodziło w kierunku Południowego Oceanu Lodowego, nim zdążyło nas dosięgnąć. W przeciwnym razie nie wrócilibyśmy, pomimo osłony granitowego grzbietu.

Zdołaliśmy jakoś zobaczyć w tym oślepiającym piekle olbrzymie powyginane kształty, rozżarzone, czarne kolosy. Przez pewien czas wyrzucały one z siebie szalony żar magnezu. Wiedzieliśmy, że musiały to być silniki. Tajemnica pochłaniana przez żar – tajemnica, która oddałaby planety w ręce człowieka. Tajemnicze mechanizmy zdolne unieść ten statek i napędzać go. Tajemnica, wchłonięta przez potężne ziemskie pole magnetyczne. Zobaczyłem, jak Norris porusza wargami, i schyliłem głowę. Nie słyszałem, co mówi.

Puściła izolacja, czy coś takiego. Naruszone zostało całe ziemskie pole magnetyczne, które wchłonęło statek przed dwudziestoma milionami lat. Zorza na niebie spełzła i cały płaskowyż w tym miejscu skapał się w zimnym ogniu, który przyćmił wszystko. Topór rozpałił się w mojej dłoni do czerwoności i syczał krusząc lód. Metalowe guziki przy ubraniu stopiły się. Stalowiebieski płomień wypalał granitowy mur od dołu ku górze.

Potem załamały się z hukiem lodowe ściany. Przez chwilę dał się słyszeć kruchy trzask, podobny do odgłosu suchego lodu prasowanego między przedmiotami z metalu.

Zostaliśmy oślepieni i godzinami chodziliśmy po omacku w ciemnościach, aż oczy wróciły

nam do normy. Stwierdziliśmy, że w obrębie mili stopiły się doszczętnie wszystkie zwoje drutu, prądnice, odbiorniki radiowe, słuchawki, głośniki. Gdybyśmy nie mieli traktora parowego, nie przedostalibyśmy się do Drugiego Obozu.

Jak wiecie, o wschodzie słońca Van Wall przyleciał z Wielkiego Magnesu. Wróciliśmy do domu najszybciej, jak było można. Tak wygląda historia tego czegoś – McReady ruchem wielkiej, brązowej brody wskazał leżącego na stole stwora.

Paliło się ostre światło. Blair poruszył się niespokojnie, wykręcając krótkie, kościste palce. Nieduże, brązowe piegi na ich kostkach przesuwają się tam i z powrotem, gdy napinały się ścięgna pod skórą. Ściągnął na bok kawałek brezentu i niecierpliwie spoglądał na stwora wewnątrz ciemnego lodowego bloku.

Wielka postać McReady'ego wyprostowała się nieco. Prowadził dziś chybotliwy, zgrzytający traktor parowy przez czterdzieści mil, pędząc tu, do Wielkiego Magnesu. Usilne pragnienie ponownego obcowania z ludźmi zakłócało nawet jego spokój. Drugi Obóz znajdował się w odludnym, pustym miejscu, gdzie od strony bieguna dało się słyszeć wilcze wycie wiatru. Wilczy wiatr nękał go nawet przez sen – wył, przywołując widok złej, ohydnej mordy potwora, który łytał na niego chytrze, kiedy zobaczył go po raz pierwszy przez przezroczysty, niebieski lód, z toporem wbitym w czaszkę.

– Problem polega na tym – przemówił olbrzymiego wzrostu meteorolog – że Blair chce zbadać to coś. Odmrozić, sporządzić preparaty mikroskopowe z jego tkanek i tak dalej. Norris nie uważa, aby to było bezpieczne, Blair natomiast tak. Doktor Copper niemalże zgadza się z Blairem. Norris jest oczywiście fizykiem, nie biologiem. Przedstawia jednak pogląd, który wszyscy powinni poznać. Blair opisał mikroskopijne formy życia, które według biologów istnieją nawet w tym zimnym i niegościnnym miejscu. Zamarzają każdej zimy, a odmarzają latem i żyją przez trzy miesiące.

Zdaniem Norrisa stwory te zamarzają i ożywają. Muszą w nich istnieć mikroskopijne formy życia. Tak się dzieje w przypadku każdej znanej nam istoty żywej. Norris obawia się wyzwolenia jakiejś zarazy – nieznannej na Ziemi choroby bakteryjnej – w przypadku rozmrożenia tych mikroskopijnych form, które pozostawały zamrożone przez dwadzieścia milionów lat.

Blair przyznaje, że taki mikroorganizm może zachowywać zdolność istnienia. Prymitywne formy, jak pojedyncze komórki, jeżeli są dokładnie zamrożone, zachowują życie przez długi czas. To zwierzę jest tak samo martwe jak znajduwane na Syberii zamarznięte mamuty. Zorganizowane, wysoko rozwinięte formy życia nie wytrzymują takiego zabiegu.

A mikroorganizmy tak. Norris podejrzewa, że moglibyśmy wyzwolić jakąś chorobę, z którą człowiek nigdy wcześniej się nie zetknął i dlatego byłby wobec niej całkowicie bezbronny.

Blair zaś uważa, że owszem, mogą istnieć takie wciąż żywe zarazki, ale że Norris odwraca sprawę. Człowiek jest na nie całkowicie odporny. Chemia naszego organizmu prawdopodobnie...

– Prawdopodobnie! – Biolog podniósł małą głowę szybkim, jak gdyby ptasim ruchem. Aureola siwych włosów wokół łysej głowy zmierzwiła się, jakby ze złości. – Ha! Wystarczy...

– Wiem – potwierdził McReady. – Ten stwór nie jest istotą ziemską. Nie wydaje się prawdopodobne, żeby skład chemiczny jego organizmu był na tyle podobny do naszego, aby



możliwe było zarażenie. Uważam, że niebezpieczeństwo nie istnieje.

McReady spojrział na doktora Coppera. Lekarz wolno pokiwał głową.

– Nie ma żadnego – stwierdził pewnie. – Człowiek nie może zarażać drobnoustrojów ani być przez nie zarażany, jeżeli te są mu mniej więcej tak bliskie gatunkowo jak węże. Zapewniam was, że węże stoją znacznie bliżej nas niż ten stwór. – Jego starannie wygoloną twarz wykrzywił nieprzyjemny grymas.

Vance Norris poruszył się gniewnie. W tym zgromadzeniu wysokich mężczyzn był raczej nieduży – miał około pięciu stóp i ośmiu cali wzrostu. Krępa, mocna budowa sprawiała, że wydawał się jeszcze niższy. Miał czarne, kędzierzawe, mocne włosy, podobne do krótkich stalowych drucików, szare oczy, barwą przypominające stal. Jeśli McReady był człowiekiem z brązu, to Norris był cały ze stali. Jego ruchy, myśli i zachowanie miały w sobie coś z szybkiego, mocnego impulsu stalowej sprężyny. Nerwy też miał stalowe – mocne, szybko reagujące i równie mało odporne na korozję jak stal.

Obstawał teraz przy swoich poglądach. Ostro ruszył do ich obrony, wybuchając w charakterystyczny dla siebie sposób potokiem szybkich, urywanych słów.

– Do diabła z innym składem chemicznym! – zaczął. – Ten stwór może jest martwy albo i nie, na Boga! Ale on mi się nie podoba. Do licha, Blair, niech zobaczą tego potwora, którego tu hołubisz. Niech zobaczą tego cuchnącego stwora i sami zdecydują, czy chcą go rozmrozić w tym obozie. Jeśli chodzi o rozmrażanie... Trzeba to zrobić dzisiaj wieczorem, w jednym z baraków, jeśli się da. Ktoś... kto pełni straż dzisiejszej nocy? Magnetyczny... aha, Connant. Promieniowanie kosmiczne dziś w nocy... No cóż, będziesz musiał czuwać przy tej swojej mumii, która ma dwadzieścia milionów lat. Rozwiń to, Blair. Nie mogę przecież, do diabła, kupować kota w worku. To może mieć inny skład chemiczny. Nie wiem, co ma jeszcze, ale wiem, że jest w nim coś, czego nie kupię. Jeśli można sądzić po minie – stwór nie jest istotą ludzką, więc być może nie można – był zły, kiedy zamarzał. Ta złość w rzeczywistości wiernie odzwierciedla odczuwaną wtedy przez niego wariacką, obłąkańczą, szaloną nienawiść. Niech nikt z nas nie dotyka nawet tego obiektu.

Jak ci faceci, do diabła, mogą wiedzieć, za czym głosują?! Nie widzieli przecież tych trojga czerwonych oczu i tych niebieskich włosów podobnych do pełzających robaków. Pełzających, do diabła, to robactwo pełza teraz pod lodem!

Nic, co Ziemia kiedykolwiek zrodziła, nie pałało tak nieopisanie wysublimowanym, niszczycielskim gniewem, jak ten malujący się na twarzy stwora, który dwadzieścia milionów lat temu przyglądał się zmrożonemu dziełu zniszczenia. Furiat? Najwyraźniej tak – rozwścieczony, obłąkany szalenie!

Do licha, odkąd patrzę na tych troje czerwonych oczu, miewam złe sny. Koszmary. Śni mi się, że stwór odtajał i ożył, że nie jest martwy ani też całkowicie nieświadomy tych wszystkich

dwudziestu milionów lat, lecz tylko ospały i nadal wyczekujący. Ty także będziesz śnił, a ten przeklęty stwór, do którego Ziemia nie przyznałaby się, będzie tymczasem topniał przez noc w Kosmicznym Domu.

– A ty, Connant – Norris skoczył w kierunku specjalisty od promieniowania kosmicznego – czyż nie będziesz z radością czuwał w ciszy przez całą noc? Wiatr będzie jęczał ponad twoją głową, a ten stwór ociekał wodą... – Przerwał na chwilę i rozejrzał się wokoło.

– Wiem. To nie jest nauka. Ale to... to psychologia. Przez cały następny rok będą śniły ci się koszmary. Mnie śnią się od dnia, kiedy spojrzałem na tego stwora. I dlatego nienawidzę go, bez dwóch zdań, i nie chcę go tutaj. Odstaw go tam, skąd się wziął, i niech zamarznie na następne dwadzieścia milionów lat. Śniły mi się jakieś niesamowite koszmary, że on nie jest zrobiony tak jak my – co zresztą oczywiste – lecz ma innego rodzaju ciało, nad którym może faktycznie panować. Potrafi zmieniać kształty i wyglądać jak człowiek, czatować, by zabijać i jeść...

To nie jest logiczny argument. Wiem, że nie. Tak czy owak, nie ma w tym stworze ziemskiej logiki.

Być może jego ciało ma odmienny skład chemiczny. Możliwe, że i organizmy zarazków różnią się składem chemicznym. Zarazki nie wytrzymałyby tego. Ale... Blair, Copper, co sądzicie o wirusie? Mówiliście, że to zaledwie cząsteczka enzymu. Potrzebowałaby tylko cząsteczki białka, by funkcjonować.

A skąd macie tę pewność, że z miliona możliwych odmian mikroskopowych form życia żadna nie jest niebezpieczna? A co z chorobami takimi jak wodowstręt – wścieklizna, która atakuje każde ciepłokrwiste stworzenie bez względu na jego budowę chemiczną? A choroba papuzia? Czy twoje ciało podobne jest do ciała papugi, Blair? A zwykły rozkład – gangrena, obumieranie tkanek, jeśli chcesz? Te wszystkie choroby nie są wybredne, jeśli chodzi o skład chemiczny atakowanego organizmu!

Blair podniósł wzrok na Norrisa i napotkał jego złe, szare oczy.

– Do tej pory powiedziałeś tylko tyle, że stwór powoduje zaraźliwe sny. Powiedzmy, że ci to przyznam – stwierdził Blair. Zmarszczoną twarz niedużego mężczyzny przeszył szelmowski, trochę złośliwy grymas. – Sam miałem takich kilka. A zatem stwór zaraża snami. Niewątpliwie to nadzwyczaj niebezpieczna choroba.

Co się tyczy innych spraw, masz wyjątkowo błędne wyobrażenie o wirusach. Po pierwsze, nikt nie udowodnił, że teoria o enzymach i cząsteczkach wszystko wyjaśnia. Po drugie, poinformuj mnie, jeśli zarazisz się chorobą mozaikową albo rdzą zbożową. Pszenica jako roślina jest znacznie bliższa składem chemicznym twemu ciału aniżeli ten stwór z innego świata.

A twoja wścieklizna podlega ograniczeniom, ścisłym ograniczeniom. Nie możesz ani zarazić się nią od pszenicy czy ryby, ani jej im przekazać, pomimo że są równoległymi potomkami waszego wspólnego przodka. Przodka, którym ten stwór nie jest; Norris. – Blair skłonił się

ironicznie w kierunku spoczywającej na stole, owiniętej brezentem masy.

– No dobrze, rozmroź to przekłete stworzenie w wannie z formaliną, skoro już musisz to zrobić. Zaproponowałem, aby...

– A ja powiedziałem, że to nie miałyby żadnego sensu. Tu nie ma miejsca na kompromis. Dlaczego przybyłeś tu razem z Komendantem Garrym, aby badać zjawisko magnetyzmu? Dlaczego nie zadowoliliś się pozostaniem w domu? W Nowym Jorku działa wystarczająca siła magnetyczna. Ja nie mógłbym badać istniejącego kiedyś w tym stworze życia posługując się zanurzoną w formalinie próbką, tak samo jak ty nie możesz uzyskać żądanych informacji w Nowym Jorku. A na dodatek, jeżeli potraktujesz stwora w taki sposób, nigdy już nie zdarzy się duplikat! Rasa, z której pochodzi, wyginęła zapewne w ciągu tych dwudziestu milionów lat kiedy był zamrożony. Jeśli więc nawet pochodzi z Marsa, nigdy nie znajdziemy takiego drugiego. No i nie ma statku.

Istnieje tylko jeden sposób, najlepszy z możliwych. Trzeba rozmrozić go powoli, ostrożnie, i nie w formalinie.

Komandor Garry znów wystąpił naprzód, a Norris cofnął się, mrużąc gniewnie.

– Sądzę, że Blair ma rację, panowie – oświadczył komandor. – Co wy na to?

– To wydaje się słuszne – mruknął Connant. – Może tylko on sam powinien stać i pilnować tego stwora, gdy będzie tajał. – Uśmiechnął się złośliwie, odrzucając z czoła pojedynczy kosmyk włosów koloru dojrzałej wiśni. – Świetny pomysł, swoją drogą, żeby tak czuwał przy tym cholernym małym trupku.

Garry uśmiechnął się delikatnie. Nad grupą przeleciały chichoty i szmer powszechnej aprobaty.

– Bez względu na to, jaki duch tkwiłby w tym stworze, zagłodziłby się na śmierć pozostając tutaj tak długo – rzucił Garry, zwracając się do Connanta. – A ty wyglądasz na osobę, która jest w stanie sobie z nim poradzić. Jako „człowiek z żelaza” powinieneś przecież wyeliminować wszystkie przeciwności.

Connant zadrżał zaniepokojony.

– Nie obawiam się duchów – powiedział. – Zobaczmy tego stwora. Ja...

Blair z zapalem zrywał sznurki. Jednym szarpnięciem odsłonił stwora. Lód w ciepłe pomieszczenia roztopił się trochę, był przezroczysty i niebieski jak grube, solidne szkło. Lśnił wilgocią i połyskiwał w ostrym świetle nie osłoniętej żarówki.

Obecni zeszywnieli nagle. Stwór leżał na gładkich, śliskich deskach stołu twarzą do góry. Ułamana połowa topora wciąż tkwiła w dziwacznej czaszce. Troje szalonych, przepelnionych nienawiścią oczu płonęło żywym ogniem – jasnym jak świeżo rozlana krew. Płonęły w twarzy otoczonej wijącym się obrzydliwym rojem robactwa – sinych, poruszających się robaków, które pełzały tam, gdzie powinny rosnąć włosy...

Van Wall, sześć stóp wzrostu i dwieście funtów wagi, pilot o stalowych nerwach, wydał dziwne westchnienie ze ściśniętego gardła i potykając się torował sobie drogę na korytarz. Połowa towarzystwa rzuciła się do drzwi. Reszta chwiejnym krokiem odsunęła się od stołu.

Z jednej strony stołu stał McReady i obserwował obecnych; jego potężne ciało wspierało się solidnie na masywnych nogach. Z drugiej strony Norris z odrazą i nienawiścią popatrywał na stwora. Za drzwiami Garry rozmawiał równocześnie ze wszystkimi.

Blair trzymał młot. Lodowy pancerz kruszył się z trzaskiem, ściskany w żelaznych kleszczach, które odzierały stwora z osłony, chroniącej go przez dwadzieścia milionów lat...

### 3

– Wiem, Connant, że nie podoba ci się ten stwór, ale on musi być należycie rozmrożony. Mówisz, żeby go zostawić, tak jak jest, aż do czasu naszego powrotu do cywilizacji. W porządku, zgadzam się z tobą, że tam moglibyśmy wykonać robotę lepiej i dokładniej. Tylko jak przedostać się z tym stworem przez równik? Musielibyśmy pokonać z nim jedną strefę umiarkowaną, jedną tropikalną i jeszcze zostałyby nam połowa drogi przez następną strefę, zanim dotarlibyśmy do Nowego Jorku. Nie chcesz pilnować go przez jedną noc, a proponujesz, bym powiesił jego zwłoki w zamrażarce razem z wołowiną? – Blair spojrział w górę, kiwając zwycięsko łysą, piegowatą czaszką.

Kinner, krępy kucharz o pełnej blizn twarzy, wybawił Connanta z kłopotu udzielania odpowiedzi.

– Ej! Słuchaj no – zaczął. – Jeżeli wsadzisz to coś do pudła z mięsem, to ja, Bóg mi świadkiem, wsadzę tam ciebie, żebyś dotrzymywał mu towarzystwa. Wy, dranie, Wszystko, co się rusza w tym obozie, przywlekliście i zwaliliście na moje stoły i ja muszę to znosić. Ale jeśli tylko wsadzicie coś do mojego mięsa albo do schowka z żywnością, będziecie sobie sami gotować wasze choleme żarcie!

– Ależ, Kinner, to jedyny stół w Wielkim Magnesie, który jest na tyle duży, żeby przy nim pracować – sprzeciwił się Blair. – Każdy już ci to tłumaczył.

– Jasne. I każdy wszystko tu ściąga. Clark znosi swoje psy po każdej bójce i zszywa je tu, na moim stole. Ralsen wciąga swoje sanie. Do diabła, tylko Boeinga jeszcze tu nie było! Pewnie byście go wtaszczyli, gdyby udało się wam wymyślić sposób na przepchnięcie go przez korytarze.

Komendant Garry zachichotał i wykrzywił się w stronę olbrzymiego Van Walla, pierwszego pilota. Wielka jasna broda Van Walla poruszyła się podejrzliwie, gdy przytaknął z powagą Kinnerowi.

– Masz rację – powiedział. – Jedynie lotnictwo traktuje cię właściwie.

– Rzeczywiście robi się tu ciasno, Kinner – przyznał Garry. – Ale obawiam się, że wszyscy czasem to odczuwamy. W antarktycznym obozie nie ma miejsca na samotność.

– Samotność? A cóż to takiego, do diabła? Widzisz, tak naprawdę do łez wzruszył mnie Barclay, który przedefilował tędy podśpiewując: „Ostatni kawał drewna w obozie! Ostatni kawał drewna w obozie!” Wynosił je, aby zbudować sobie sracz na traktorze. Niech to diabli, bardziej brakowało mi tego serduszka wyciętego w drzwiach, które wynosił, aniżeli widoku zachodzącego słońca. Barclay zabierał nie tylko ostatnią deskę. Porywał z tego przeklętego miejsca resztkę intymności.

Kiedy Kinner znów zaczął swoje wieczne, nieszkodliwe gderanie, grymas uśmiechu pojawił

się nawet na wielkiej twarzy Connanta. Uśmiech zgasł jednak, gdy Connant zwrócił swe szare, głęboko osadzone oczy w stronę czerwonoookiego stwora, z którego Blair obłupywał lodowy kokon. Duża dłoń Connanta zmierzwiła sięgające ramion włosy i charakterystycznym ruchem założyła opadający kosmyk za ucho.

– Jeśli przyjdzie mi pilnować tego stwora, zdaję sobie sprawę, że będzie tu za ciasno – warknął Connant. – Dlaczego nie rozbijasz dalej lodu? Zapewniam cię, że możesz to robić i nikt nie będzie się wtrącał, a potem możesz nawet powiesić tego stwora nad kotłem parowym. Starczy ciepła. Rozmroziłoby ono natychmiast kurczaka, a w ciągu kilku godzin nawet cały płat wołowiny.

– Wiem – sprzeciwił się Blair i opuścił młot, aby skuteczniej uchwycić go w kościste, piegowate palce. Zapał naprężył jego drobne ciało. – Jednak to zbyt ważne, żeby podejmować jakiegokolwiek ryzyko. Nigdy przedtem nie znaleziono czegoś takiego i być może nigdy więcej się to nie zdarzy. To jedyna okazja, jaka kiedykolwiek trafiła się człowiekowi, i należy ją dobrze wykorzystać.

Posłuchaj. Czy wiesz, że ryby, które złowiliśmy niedaleko Morza Rossa, zamarłyby prawie natychmiast po wyciągnięciu ich na pokład i ożyły ponownie, gdybyśmy rozmrozili je delikatnie? Szybkie zamrażanie i powolne odmrażanie nie zabijają niższych form życia. Mamy...

– Ej, na miłość boską, mówisz, że ten przeklęty stwór ożyje! – wrzasnął Connant. – I ty tego cholernego stwora... Dopuść mnie do niego! Będzie w tylu kawałkach, że...

– Nie! Nie, ty dumniu! – Blair skoczył przed Connanta, aby osłonić swoje cenne znalezisko. – Nie! Tylko niższe formy życia. Na litość boską, daj mi skończyć. Nie można odmrażać wyższych form życia i przywracać ich do istnienia. Zaczekaj chwilę, zrozum! Ryba może ożyć po zamrożeniu, ponieważ stanowi na tyle nieskomplikowany organizm, że reaktywowanie pojedynczych komórek wystarcza, aby ożyła. Wszystkie wyższe formy, odmrożone w ten sposób, pozostają martwe. Mimo ożywiania pojedynczych komórek giną, ponieważ aby istniało życie, musi wystąpić współdziałanie całego organizmu. Tego współdziałania nie da się przywrócić. W każdym nie uszkodzonym, poddanym szybkiemu zamrożeniu zwierzęciu istnieje swego rodzaju utajone życie. Jednak w żadnych warunkach nie może zostać przywrócone życie istot wyższych. Są one zbyt delikatne, a ich budowa zbyt skomplikowana. Tutaj mamy istotę inteligentną, stojącą na tak wysokim szczeblu swej ewolucji jak my w ewolucji naszego gatunku. A być może wyżej. Istota ta jest również martwa, jak byłby martwy zamrożony człowiek.

– Skąd wiesz? – spytał Connant, ważąc w ręce chwycony przed chwilą topór do lodu.

Komendant Garry, powstrzymując go, położył mu dłoń na mocnym ramieniu.

– Chwileczkę, Connant – rzucił. – Chcę powiedzieć wprost. Zgoda, że nie będzie się rozmrażać tego stwora, jeśli jest najmniejsza szansa jego powrotu do życia. Przyznaję, że jest to stwór zbyt nieprzyjemny, aby mieć go tu żywego. Nie przypuszczałem, że może istnieć taka

możliwość.

Doktor Copper wyciągnął fajkę spomiędzy zębów i dźwignął swoje krępe, śniade ciało z pryczy, na której siedział.

– Blair mówi zbyt fachowo – przyznał. Stwór nie żyje. Jest tak samo martwy jak znajduwane na Syberii zamrożone mamuty. Życie utajone to jak energia atomowa – jest wewnątrz, ale nie można jej wyzwolić i z pewnością nie wyzwoli się sama. Pomińmy przypadki tak rzadkie jak rad w chemii. Mamy wszelkiego rodzaju dowody na to, że stworzenia zamrożone tracą życie – ryby także – i żadnego dowodu na to, że zwierzęta wyżej zorganizowane mogą zachować życie. O co chodzi, Blair?

Biolog wzdrygnął się. Stercząca wokół jego łysej głowy mała kreza włosów zafalowała na znak uzasadnionego gniewu.

– Chodzi o to... – powiedział obrażonym tonem – że pojedyncze komórki mogą zachować cechy, które posiadały za życia, jeżeli rozmrozi się je w odpowiedni sposób. Komórki mięśni ludzkich żyją jeszcze wiele godzin po śmierci człowieka. Po prostu żyją – a włosy czy paznokcie rosną jeszcze dłużej. Mimo to nie oskarżałbyś chyba zwłok, że są trupem przywróconym do życia za pomocą czarnoksięskich praktyk czy czymś takim.

Zatem, jeżeli rozmrozę stwora odpowiednio, może uda mi się określić, skąd pochodzi. Nie wiemy i nie możemy wiedzieć, czy wziął się z Ziemi, z Marsa, z Wenus czy w ogóle z gwiazd.

Nie musisz oskarżać go o złość, nienawiść albo coś jeszcze dlatego tylko, że jest niepodobny do człowieka. Być może ten jego wyraz twarzy oznacza rezygnację wobec losu. Biel to dla Chińczyka kolor żałoby. Skoro nawet ludzie mają różne obyczaje, to dlaczego tak odmienna rasa nie mogłaby inaczej interpretować mimiki twarzy?

Connant zaśmiał się cicho i ponuro.

– Spokojna rezygnacja! – jęknął. – Jeżeli to wszystko, co pokazuje jego twarz, oddaje rezygnację, okropnie bym nie chciał jej oglądać, gdyby wyrażała obłąkanie. Ta twarz nie została stworzona, aby wyrażać spokój. Jej struktura nie przewidywała odbijania tak filozoficznych nastrojów.

Wiem, że to twój pupil, ale zachowaj rozsądek. Ten stwór rósł na złej glebie, dorósł smażąc żywcem na wolnym ogniu niewinne istoty – tamtejszy odpowiednik naszych kociąt – a w wieku dojrzałym zabawiał się wymyślaniem coraz to bardziej wyrafinowanych tortur.

– Nie masz najmniejszego prawa tak mówić – wypalił Blair. – Skąd możesz wiedzieć, jakie było pierwotne znaczenie wyrazu twarzy charakterystycznego dla istot nieludzkich? Równie dobrze może on nie mieć żadnego odpowiednika w świecie ludzi. To po prostu natura, to jej odmienny rozwój, kolejny przykład wspaniałej umiejętności przystosowania. Wzrastając w innym, być może w twardszym świecie, osobnik uzyskuje inną postać i inne cechy. Ale jest tak samo prawowitym dzieckiem natury jak i ty. Wykazujesz dziecinną, ludzką słabość do

nienawidzenia wszystkiego, co odmienne. On w swym świecie prawdopodobnie zaklasyfikowałby ciebie jako brzuchacza, białego potwora ze zbyt małą liczbą oczu i z grzybowatym ciałem – bladym i nadmuchanym powietrzem jak balon.

Nie masz żadnego prawa mówić, że stwór jest uosobieniem zła tylko dlatego, że jest inny.

– Ha! – Norris wydał pojedynczy, nagły jak wybuch okrzyk.

– Istoty z innych światów może i nie muszą być złe dlatego, że są odmienne – powiedział, spoglądając na stwora. – Ale on jest! Dziecko natury, co? Niczego sobie musiała to być natura.

– Przeszlibyście wreszcie, frajerzy, naskakiwać na siebie i może zabrałibyście tego przekłętę stwora z mojego stołu? – warknął Kinner. – I przykryjcie go brezentem. Wygląda nieprzyzwoicie.

– Kinner stał się skromny – zadrwił Connant.

Kinner spojrzał zezem na postawnego fizyka. Pokryty bliznami policzek skrzywił się, aby połączyć się w grymasie z linią zaciśniętych ust.

– W porządku, wielkoludzie, ale po diabła tak zrzędziłeś przed minutą? Jeśli chcesz, możemy na noc posadzić stwora obok ciebie, na krześle.

– Nie boję się jego twarzy – warknął Connant. – Niespecjalnie podoba mi się czuwanie przy trupie, ale zrobię to.

Grymas przestał wykrzywiać twarz Kinnera. Kucharz podszedł do kuchennego pieca i energicznie pogrzebał w popielniku, przykrywając popiołem kruchy odłamek lodu – owoc roboty Blaira.



„Gdak”, szcęknał licznik promieniowania kosmicznego, „gdak, wrrr, gdak”. Connant drgnął i upuścił ołówek.

– Cholera! – krzyknął fizyk i spojrzał w przeciwległy róg, na umieszczony na stole licznik Geigera. Wczołgał się pod pulpit, przy którym pracował, aby podnieść ołówek. Zasiadł z powrotem do pracy, starając się pisać wyraźnie. Jednak jego pismo było drżące i nierówne.

Licznik Geigera wydawał urywane dźwięki, podobne do napuszonego gdakania kury. Przytłumiony szum włączonej lampy, którą sobie przyświecał, zlewający się z odgłosami chrapania i gwizdami wydawanymi przez kilkunastu mężczyzn śpiących w Rajskim Domu w dalszej części korytarza, stanowiły tło dla nieregularnych pogdakiwań licznika i hurkotu węgla podrzucanego od czasu do czasu do wyłożonego miedzianą blachą pieca. A do tego jeszcze ciche „kap, kap, kap” ze spoczywającego w kącie stwora.

Connant wyszarpnął z kieszeni paczkę papierosów, stuknął w nią tak, że jeden papieros się wysunął, po czym wepchnął go sobie do ust. Popsuła mu się zapalniczka, więc grzebał ze złością w stosie papierów w poszukiwaniu zapalek. Kilkakrotnie pokręcił jeszcze kółkiem zapalniczki, następnie rzucił ją z przekleństwem i wstał, aby szczypcami wyciągnąć z pieca rozżarzony węgiel.

Zapalniczka zadziałała natychmiast, gdy wróciwszy do pulpitu podniósł ją i znów wypróbował. Licznik wypuł z siebie serię gdaczących parsknięć, w chwili gdy przeniknęły przezeń promienie kosmiczne. Connant obrócił się, spojrzał na niego groźnie i próbował skoncentrować się na interpretacji danych zgromadzonych w ciągu minionego tygodnia. Tygodniowe zestawienie...

Poddał się jednak, ulegając ciekawości albo zdenerwowaniu. Wziął z pulpitu zapaloną lampę i przeniósł ją na stół w kącie. Wrócił do pieca i chwycił szczypcę do węgla. To bydle rozmrażało się już prawie osiemnaście godzin. Szturchnął je z podświadomą ostrożnością. Ciało nie było już twarde jak metalowy pancerz, przybrało konsystencję kauczuku. Wyglądało jak wilgotna niebieska guma, lśniąca pod kropelkami wody, podobnymi w oślepiającym świetle benzynowej lampy do małych okrągłych klejnotów. Connant poczuł bezrozumne pragnienie wylania zawartości zbiornika lampy na stwora w lodowej osłonie i wrzucenia do środka niedopałka papierosa. Troje czerwonych oczu popatrzyło na niego martwo. W rubinowych gałkach odbijały się promienie mrocznego, zadymionego światła.

Niejasno zdał sobie sprawę, że przygląda im się już bardzo długo. Zrozumiał nawet mgliście, że oczy te przestały być ślepe. To jednak wydawało się bez znaczenia, równie nieważne jak mozolny, ślamazarny ruch macek wyrastających z kościstej powoli pulsującej szyi.

Connant podniósł lampę i wrócił na krzesło. Siedział wpatrując się w kartki z obliczeniami,

które miał przed sobą. Dziwne, ale gdakanie licznika stało się znacznie mniej dokuczliwe, a hurkot węgla w piecu już nie rozpraszał uwagi.

Skrzypienie podłogi za plecami Connanta nie przerwało mu pracy, kiedy przebiegał swój tygodniowy raport, wypełniając go kolumnami danych – sporządzając zwięzłe, syntetyczne notatki.

Skrzypienie podłogi dało się słyszeć bliżej.

## 5

Blair wydobył się nagle z prześladowających go w głębokim śnie koszmarów. Zamajaczyła nad nim twarz Connanta. Przez chwilę wydawało się, że trwa jeszcze dziki horror ze snu. Na obliczu Connanta malowała się złość i lekkie przerażenie.

– Blair! Blair! Ty przekłeta kłodo, obudź się!

– Co? – Biolog przecierał oczy, zginając kościste, piegowate palce w koślawą pięść dzieciennych rozmiarów. Z sąsiednich prycz podniosły się inne głowy, aby popatrzeć na nich.

– Wstawaj, no, podnieś się! – Connant wyprostował się. – Twoje cholerne zwierzę uciekło!

– Uciekło? Co takiego?! – ryknął pierwszy pilot Van Wall byczym głosem, od którego zatrzęsły się ściany. Nagle w korytarzach rozległy się wrzaski. Kilkunastu mieszkańców Rajskiego Domu wtargnęło na oślep do środka; krępy, okrągły jak bulwa Barclay w długich, wełnianych kalesonach, trzymał w ręku gaśnicę.

– Co się dzieje, do diabła?! – spytał.

– Twoje parszywe bydlę uciekło. Gdzieś dwadzieścia minut temu zasnąłem, a kiedy się obudziłem, stwora nie było. Ej, doktorku, mówileś do licha, że te istoty nie mogą ożyć. Przekłete utajone życie, o którym opowiadał Blair, wykrzesало z siebie piekielnie dużo energii i poszło sobie.

Copper gapił się tępo w przestrzeń.

– Ono nie było ziemskie – powiedział nagle, wzdychając. – Chyba... chyba ziemskie prawa nie mają tu zastosowania.

– Otóż stwór chciał mieć wolne i ma. Musimy go odszukać i schwytać. – Connant zaklął siarczyście. Jego głęboko osadzone, czarne oczy patrzyły ponuro i ze złością. – To cud, że ta diabelska kreatura nie pożarła mnie, gdy spałem.

Blair odwrócił wzrok, a w jego wyblakłych oczach odbił się nagły strach. – A może on... Musimy go odnaleźć – wymamrotał.

– Sam go będziesz szukał. To twój pupilek. Mnie wystarczy siedzenie tam z nim przez siedem godzin. Licznik gdał co kilka sekund, a wy, dranie, śpiewaliście wasz nocny koncert. To cud, że zasnąłem. Idę do budynku administracyjnego.

Komandor Garry pojawił się w drzwiach, zaciskając pas.

– Nie będziesz musiał – powiedział. – Ryk Vana brzmiał jak huk startującego pod wiatr Boeinga. A więc stwór nie był martwy?

– Zapewniam cię, że nie wyniosłem go na rękach – warknął Connant. – Ostatnie, co widziałem, to jak jego rozpołowiona czaszka wydzielala zieloną, lepka maź, niczym rozgnieciona gaśienica. Doktor stwierdził właśnie, że nasze prawa w tym przypadku nie działają – to nie jest ziemski stwór. To nieziemski potwór o nieziemskim charakterze, jeśli sądzić po wyrazie jego

twarży, umiejętności włóczenia się z rozwaloną czaszką i sączącym się mózgiem.

W drzwiach stanęli Norris i McReady. Wejście wypełniało się stopniowo kolejnymi dygoczącymi ludźmi.

– Czy ktokolwiek widział przechodzącego stwora? – spytał naiwnie Norris. – Około czterech stóp wzrostu, troje czerwonych oczu, wyciekający mózg. Ej tam, a sprawdził ktoś, czy to nie idiotyczny dowcip? Jeśli tak jest, myślę, że wspólnymi siłami przywiążemy pupilka Blaira do szyi Connanta, tak jak w opowieści o albatrosie i Sędziwym Marynarzu.

– To nie jest dowcip. – Connant zadrzał. – O Boże, żałuję, że tak nie jest! Wolałbym nosić... – tu przerwał. Korytarze przeszył dziki, nieziemski ryk. Wszyscy nagle zeszywnieli i odwrócili się.

– Chyba go mamy – dokończył Connant. Oczy miał rozbiegane i dziwnie niespokojne. Popędził z powrotem do Rajskiego Domu, do swojej pryczy, i prawie natychmiast wrócił z ciężką czterdziestką piątką oraz toporem do lodu. Ważąc je w rękach ruszył w stronę korytarza prowadzącego do Psiego Obozu. – Stwór wlał przez pomyłkę do złego korytarza i wylądował wśród huskych. Słyszycie? Psy pozrywały się z łańcuchów.

Niemal paniczne wycie sfory przeszło w skowyt dzikiego pościgu. W wąskich korytarzach dudniło szczekanie psów, przez które przebijał się zduszony, mrukliwy warkot czystej nienawiści. I nagle pisk bólu, jękliwy skowyt kilkunastu zwierząt.

Connant rzucił się do drzwi. Tuż za nim biegł McReady. Wkrótce dołączyli do nich Barclay i Komandor Garry. Pozostali popędzili do budynku administracji i po broń do szopy na sanie. Pomroy, opiekun pięciu krów w Wielkim Magnesie, ruszył w głąb korytarza w przeciwnym kierunku – przypomniał sobie o widłach z długimi zębami, na kiju długości sześciu stóp.

Barclay zatrzymał się w ślizgu, gdy olbrzymie cielsko McReady'ego skreśliło nagle z korytarza prowadzącego do Psiego Obozu i zniknęło za zakrętem. Mechanik, z gaśnicą w rękach, wahał się przez chwilę, niezdecydowany, w którą stronę iść, lecz wkrótce pędził już za Connantem. Cokolwiek wymyślił McReady, można było mieć do niego zaufanie.

Connant zatrzymał się na zakręcie korytarza.

– O wielki Boże – wydarł mu się nagle z gardła syczący szept.

Rewolwer wypalił z hukiem. Ciasne korytarze przeszyły trzy głucho, gęste fale dźwięku. I jeszcze dwie. Rewolwer upadł na ubity śnieg. Barclay spostrzegł, że Connant zasłania się toporem. Na chwilę jego potężne ciało przesłoniło mu widok, usłyszał jednak obrzydliwe miauczenie i szaleńczy chichot. Psy nieco się uspokoiły; w ich przytłumionym warczeniu była śmiertelna powaga. Wysuniętymi pazurami drapały ubity śnieg. Pozrywane łańcuchy brzęczały i plątały się.

Connant przesunął się gwałtownie i Barclay mógł zobaczyć to coś w dole. Zamarł na chwilę jak zmrożony. Potem odetchnął i siarczyście zaklął. Stwór rzucił się na Connanta. Potężne

ramiona mężczyzny zamachnęły się, celując najpierw płaską stroną topora w coś, co mogło być ręką. Zachrząściło okrutnie. Postrzępione ciało, rozszarpane przez pół tuzina dzikich psów, znów skoczyło na nogi. Czerwone oczy płonęły ogniem nieziemskiej nienawiści, obcą, niezniszczalną żywotnością.

Barclay skierował na nie gaśnicę. Oślepiający, pęcherzykowy strumień rozpylanej substancji chemicznej zaskoczył stwora i powstrzymał go. Dołączyły się do tego bezlitosne ataki huskych, które nie bały się już niczego, co żyło albo jeszcze mogło żyć.

McReady odepchnął zagradzających mu przejście i skierował ich do wąskiego korytarza nabitego ludźmi, którzy nie byli w stanie przedostać się na teren walki. Był to początek zaplanowanego wcześniej ataku. W brązowych rękach McReady trzymał gigantyczny palnik używany do rozgrzewania silników samolotowych. Palnik ryknął gwałtownie, kiedy McReady, skręciwszy za róg korytarza, otworzył zawór. Oszałałe, obrzydliwe miauczenie przeszło w głośny syk. Psy cofnęły się gwałtownie przed trzystopową lanca ognia.

– Bar! Przynieść kabel elektryczny i podłącz go tu jakoś. I jeszcze uchwyt. Porazimy śmiertelnie tego potwora prądem, jeżeli go wcześniej nie spopielę. – McReady mówił z powagą człowieka prowadzącego zaplanowaną akcję. Barclay skręcił w głąb długiego korytarza. Przed nim pędzili już Norris i Van Wall.

Barclay znalazł kabel w skrytce z urządzeniami elektrycznymi umieszczonej w ścianie korytarza. Przez pół minuty nacinał izolację nożem, po czym ruszył z powrotem. Głos Van Walla zagrział ostrzegawczo: „Uwaga! Prąd!”, a awaryjna prądnica benzynowa zaskoczyła z głuchym łomotem. Tam na miejscu było teraz dużo ludzi. Węgiel opałowy wędrował do komory ogniowej paleniska elektrowni parowej. Norris, przeklinając niskim, monotonnym głosem, manipulował szybko i pewnie przy drugim końcu kabla trzymanego przez Barclaya, łącząc go z jednym z przewodów zasilających.

Kiedy Barclay doszedł do zakrętu korytarza, psy cofały się przed rozszalałym potworem, którego czerwone oczy złowrogo raziły oślepiającym światłem, obrzydli – wie miauczającym z podstępą nienawiścią. Skąpane w czerwoności pyski psów z obwódkami świecących bielą zębów tworzyły półkole. Husky skowyczały z nienawiścią i zjadliwą żądzą, dorównującą niemal furii czerwonych oczu. McReady, ufny w swe siły, stał w pogotowiu na zakręcie korytarza, swobodnie trzymając w rękach syczący palnik. Kiedy zjawił się Barclay, McReady odsunął się na bok nie odrywając oczu od bestii. Na jego szczupłej twarzy z brązu dał się zauważyć delikatny, ściągnięty uśmiech.

W głębi korytarza odezwał się głos Norrisa. Barclay zrobił krok do przodu z kablem umocowanym taśmą do długiego kija od łopaty do śniegu. Oba przewody były rozdzielone osiemnastocalowym kawałkiem drewna umocowanym w poprzek końca uchwytu. Nie izolowane miedziane przewody, pod napięciem dwustu dwudziestu wolt, migotały w świetle włączonej

lampy. Stwór zamiauczał obrzydliwie, zatrzymał się i odskoczył. McReady przysunął się bliżej Barclaya. Psy wyczuły jego zamiar z niemal telepatyczną inteligencją tresowanych huskych. Ich skowyt stał się jeszcze przenikliwszy, a zarazem jakby spokojniejszy. Zbliżyły się, drobno przebierając łapami. Nagle olbrzymi, czarny jak sadza pies skoczył na schwytanego w pułapkę stwora. Ten zaczął wrzeszczeć, szarpiąc go szponami jakby ciał pałaszem.

Barclay skoczył do przodu i zadał cios. Rozległ się niesamowity, przeraźliwy krzyk i – nagle zdławiony – umilkł. Korytarzem poniósł się smród spalonego ciała. Kłębił się tłusty dym. Odbijający się echem łomot benzynowej prądnicy przeszedł w głuchy szum.

Czerwone ślepia w sztywniejącej, targanej drgawkami parodii twarzy zasnuły się mgłą. Niby-ręce i niby-nogi drżały i dygotały. Psy skoczyły do przodu, a Barclay odrzucił broń. Leżący na śniegu stwór nie poruszał się, gdy lśniące zęby rozszarpywały go na strzępy.

## 6

Garry rozejrzał się po zatłoczonym pomieszczeniu, w którym znajdowało się trzydziestu dwóch mężczyzn. Jedni w nerwowym napięciu stali pod ścianą, inni byli niepokojąco odprężeni, niektórzy siedzieli, inni z konieczności stali, ściśnięci jak śledzie. Było ich trzydziestu dwóch oraz pięciu zajętych zszywaniem rannych psów – razem trzydziestu siedmiu, czyli pełen skład.

– W porządku. Jesteśmy tu chyba wszyscy – zaczął Garry. – Niektórzy spośród was, najwyżej trzech lub czterech, widzieli, co się stało. Wszyscy zaś widzieli tego stwora, jak leżał na stole, i mają ogólne o nim wyobrażenie. Nikt nie widział... podniosę... – Jego dłoń powędrowała w kierunku brezentu okrywającego szczątki. Spod niego wydobywał się gryzący odór spalonego ciała. Obecni poruszyli się niespokojnie, jakby chcieli gorączkowo zaprotestować.

– Wygląda na to, że Charnauk nie poprowadzi już żadnego zaprzęgu – ciągnął Garry. – Blair chciałby dobrać się do stwora i przeprowadzić nieco bardziej szczegółowe oględziny. Chcemy wiedzieć, co się stało, i upewnić się, że teraz potwór jest już absolutnie i na zawsze martwy. Zgoda?

– Kto się sprzeciwi, może go popilnować dzisiejszej nocy – zaproponował ze złośliwym uśmiechem Connant.

– W porządku, więc co możesz o nim powiedzieć, Blair? Co to było? – Garry zwrócił się do niewysokiego biologa.

– Zastanawiam się, czy w ogóle widzieliśmy go w prawdziwej postaci – powiedział Blair, spoglądając na przykrytą brezentem masę. – Być może upodobił się do istot, które zbudowały statek, ale nie sądzę, aby tak było. Myślę, że widzieliśmy jego autentyczną postać. Ci spośród nas, którzy byli przy zakręcie korytarza, zobaczyli stwora w akcji. To co leży na stole – to jej wynik. Kiedy potwór się oswobodził, pewnie zaczął rozglądać się naokoło. Antarktyda była wciąż zamrznięta, jak przed wiekami, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy i zamarznął. Z moich obserwacji dokonanych podczas jego odmarzania, jak i na podstawie wyciętych przeze mnie, a potem spreparowanych fragmentów tkanek wynika, że stwór pochodził z cieplejszej planety niż Ziemia. W swej naturalnej postaci nie był w stanie znieść tak niskiej temperatury. Nie ma takiej formy życia na Ziemi, która mogłaby przetrwać zimę na Antarktydzie, ale najlepiej przystosowany jest pies. Stwór odnalazł psy i w jakiś sposób zbliżył się na tyle do Charnauka, aby go osiągnąć. Zwierzęta poczuły to, usłyszały, nie wiem dokładnie co; w każdym razie rozwścieczyły się, zerwały z łańcuchów i zaatakowały stwora, zanim ten skończył się przeistaczać. To co znaleźliśmy, było w części Charnaukiem, tylko dziwnie, na pół martwym, w części Charnaukiem na pół pochłoniętym jakby przez galaretowatą protoplazmę tej istoty i w części resztkami odkrytego przez nas pierwotnie stwora, jakby roztopionego w pierwotną protoplazmę.

Zaatakowany przez psy, przeistoczył się w najlepiej walczące stworzenie, jakie mógł sobie wyobrazić. W bestię z innego świata, oczywiście.

– Przeistoczył się – powiedział sucho Garry. – W jaki sposób?

– Każda żywa istota składa się z galaretowatej protoplazmy i z drobniutkich supermikroskopijnych ciał zwanych jądrami, które zawiadują masą protoplazmy. Ten stwór stanowił po prostu odmianę tego samego powszechnie obowiązującego ładu Natury – systemu komórek, składających się z protoplazmy i kontrolowanych przez nieskończenie mniejsze jądra. Wy, fizycy, moglibyście porównać pojedynczą komórkę jakiegokolwiek istoty żywej do atomu. Masa atomu w części wypełniającej przestrzeń, składa się z orbitujących elektronów, lecz charakter cząstki określa jądro atomu.

Nie jest to coś, co gwałtownie wykraczałoby poza naszą dotychczasową wiedzę. To tylko modyfikacja, z którą przedtem się nie zetknęliśmy. Jest równie naturalna i równie logiczna jak każda inna forma życia. Podlega dokładnie takim samym prawom. Komórki składają się z protoplazmy, a ich rodzaj określa jądro.

Tyle tylko, że u tej istoty jądro komórkowe może sterować komórkami dowolnie. Stwór wchłonął Charauka i w trakcie tego procesu analizował każdą komórkę jego tkanek, kształtując własne komórki na ich dokładne podobieństwo. Część z nich – te, które zdążyły zakończyć przemiany – to komórki psa. Ale nie zawierają one jąder z komórek psa. – Blair podniósł kawałek brezentu. Wystawała spod niego rozszarpana psia łapa pokryta sztywną, spopielałą sierścią. – To na przykład wcale nie jest pies, to tylko upodobnienie. Co do innych części ciała mam wątpliwości. Właściwe jądro pozostało w ukryciu, przysłonięte jądrem upodobnionym do jądra komórkowego psa. Po pewnym czasie już nawet mikroskop nie wykazałby różnicy.

– A założmy, że stwór miałby bardzo dużo czasu? – spytał z goryczą Norris.

– Wówczas stałby się psem. Pozostałe zwierzęta dałyby się na to nabrać. I my również. Nie wydaje mi się, aby można go było jakimś sposobem odróżnić: czy przy użyciu mikroskopu, czy też posługując się promieniami Rentgena. Należy do rasy stojącej najwyżej pod względem inteligencji: rasy, która poznała najgłębsze sekrety biologii i zastosowała je w praktyce.

– Co zamierzał uczynić? – spytał Barclay, spoglądając na wygięty brezent.

Blair skrzywił się w nieprzyjemnym uśmiechu. Powiewająca wokół jego łysej głowy aureola rzadkich włosów zadrżała w powietrzu.

– Zapanować nad światem – powiedział.

– Zapanować nad światem?! Tak po prostu, i to samodzielnie? – Connant odetchnął ciężko. – Ustanowić siebie jedynym władcą?

– Nie – potrząsnął głową Blair. Skalpel, którym bawił się w kościstych palcach, wypadł mu z rąk. Biolog schylił się, aby go podnieść. – Stałby się ludnością świata – powiedział, skrywając twarz.



– Stałby się... zaludniłby świat? Czy on rozmnaża się bezpłciowo?

– Jest... on nie musi – Blair potrząsnął przecząco głową i odchrząknął. – Ważył osiemdziesiąt pięć funtów. Charnauk – około dziewięćdziesięciu. Gdyby przeistoczył się w Charnauka, zostałoby mu osiemdziesiąt pięć funtów, aby stać się, na przykład Jackiem albo Chinookiem. On może upodabniać się do wszystkiego, to znaczy stać się czymkolwiek. Gdyby dotarł do Południowego Oceanu Lodowatego, stałby się foką, może dwiema fokami. Zaatakowałyby one być może orkę i przeistoczyły się albo w orki albo w stado fok. Lub też upolowałyby albatrosa czy rybitwę i pofrunęły do Ameryki Południowej.

Norris zaklął pod nosem.

– To znaczy, że ilekroć coś wchłaniał, upodabniał się do tego czegoś – powiedział. – Zachowywał swoją pierwotną masę, aby zaczynać od nowa – skończył Blair. – Nic nie mogłoby go uśmiercić. On nie ma żadnych wrogów w przyrodzie, ponieważ staje się tym, czy zechce się stać. Zaatakowany przez orkę przeobraziłby się w orkę. Gdyby był albatrosem, zaatakowany przez orła, stałby się orłem. Mógłby stać się nawet samicą orła. Wrócić, zbudować gniazdo, złożyć jaja!

– Jesteś pewien, że ten piekielny stwór jest martwy? – spytał cicho doktor Copper.

– Dzięki Bogu tak – westchnął z ulgą niski biolog. – Kiedy już odpędzono psy, stałem tam i przez pięć minut dźgałem go tym elektrycznym przyrządem Barclaya. Jest martwy i usmażony.

– Pozostaje nam tylko dziękować, że to Antarktyda, gdzie nie ma ani jednego żywego stworzenia – poza zwierzętami w obozie – do którego mógłby się upodobnić.

– A my? – Zachichotał Blair. – Może upodobnić się do nas. Psy, z braku pożywienia, nie pokonają czterystu mil dzielących nas od morza. O tej porze roku nie ma rybitw. Tak daleko w głębi lądu nie ma też pingwinów. Nikt poza nami nie jest w stanie dotrzeć z tego miejsca do morza. My mamy mózgi i potrafimy to zrobić. Czy nie rozumiecie, że on musi upodobnić się do nas? Musi stać się jednym z nas – to jedyny sposób, żeby mógł polecieć samolotem, lecieć samolotem przez dwie godziny. Zapanować nad wszystkimi mieszkańcami Ziemi. Może podbić świat, jeżeli upodobni się do nas!

Ale stwór tego nie wiedział. Nie miał okazji się dowiedzieć. Działał szybko, w pośpiechu – upodobnił się do tego, co miało podobny rozmiar. Patrzcie: jestem Pandorą i otworzyłem puszkę. A my możemy mieć tylko tę nadzieję, że nic się nie ukáže. Nie widzieliście mnie. Ja to zrobiłem. Ustawiłem. Rozwaliłem wszystkie iskrowniki. Nie polecą żaden samolot. Nic nie polecą – zachichotał Blair i z krzykiem padł na podłogę.

Pierwszy pilot Van Wall dał nura w drzwi. W korytarzach jak echo zanikały już odgłosy jego kroków, kiedy doktor Copper bez pośpiechu nachylił się na leżącym na podłodze małym człowieczkiem. Przyniósł coś z szafki z lekarstwami w końcu pomieszczenia i wstrzyknął Blairowi lekarstwo w rękę.

– Przejdzie mu, jak się obudzi – westchnął, podnosząc się. McReady pomógł mu przenieść biologa na pryczę. – Wszystko zależy od tego, czy zdołamy go przekonać, że stwór nie żyje – dodał Copper.

Van Wall wskoczył do baraku, głaszcząc z roztargnieniem swą gęstą, jasną brodę.

– Nie sądziłem, że biolog mógłby to zrobić dokładnie. Zapomniał o częściach zapasowych w drugim schowku, ale wszystko w porządku. Ja je rozwaliłem – powiedział.

– Zastanawiam się, co z radiem – pokiwał głową komandor Garry.

Doktor Copper parsknął.

– Nie sądzisz chyba, że można to przekazać drogą radiową? Jeśli zaprzestaniesz nadawania, w ciągu najbliższych trzech miesięcy będziesz tu miał pięć wypraw ratunkowych. Trzeba nadawać głośno i ani słowa o tym. Teraz zastanawiam się...

McReady spojrział w zamyśleniu na doktora. – To może być coś podobnego do choroby zakaźnej. Jeśli ktokolwiek zetknie się z odrobiną krwi tego stwora...

– Blair zapomniał o jednym. – Copper potrząsnął przecząco głową. – Stwór może do pewnego stopnia upodobnić się do czegoś, ale ma przecież częściowo własną strukturę chemiczną organizmu i własny metabolizm. Gdyby tak nie było, stałby się psem – psem i niczym więcej. Musi być tylko upodobniony do psa. Można to wykryć za pomocą badania krwi. Budowa chemiczna stwora jako istoty z innego świata musiałaby być całkowicie, radykalnie odmienna, aby na kilka komórek w kroplach krwi ciało psa albo człowieka zareagowało jak na zarazki chorobotwórcze.

– Krew... czy któreś z tych upodobnień krwawiłoby? – spytał Norris.

– Oczywiście. Krew nie jest czymś tajemniczym. Mięsień – to w około dziewięć – dziesięciu procentach woda; krew różni się od niego tylko tym, że zawiera kilka procent wody więcej, a mniej tkanki łącznej. Krwawienie z pewnością by wystąpiło – zapewnił Copper.

– Connant! Gdzie jest Connant? – spytał nagle Blair, usiadłszy na pryczy.

– Jestem tu. Czego chcesz? – Fizyk przesunął się w stronę biologa.

– Czyżbyś to był ty? – zachichotał Blair i opadł z powrotem na pryczę, z twarzą wykrzywioną milczącym śmiechem.

– Co? Czym miałbym być? – Connant spojrział na niego tępo.

– Jesteś tam? – Blair wybuchnął salwą śmiechu. – Czy jesteś Connantem? To bydlę chciało być człowiekiem, a nie psem...

Doktor Copper wstał ciężko z pryczy i dokładnie umył strzykawkę. Jej delikatne dzwonięcie wydawało się głośnie w zatłoczonym wnętrzu, zwłaszcza że rechotliwy śmiech Blaira uciszył się wreszcie.

– Obawiam się, że to beznadziejne – powiedział doktor, spoglądając na Garry’ego. – Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek zdołali go przekonać, że stwór nie żyje – pokiwał przecząco głową.

– Nie jestem pewien, czy zdołasz przekonać mnie. A niech cię diabli, McReady. – Norris śmiał się bez przekonania.

– McReady? – Komandor Garry przesunął zaciekawiony wzrok z Norrisa na McReady’ego.

– Nocne koszmary – wyjaśnił Norris. – Miał swoją teorię na temat snów, które miewaliśmy w Drugiej Stacji po odkryciu stwora.

– Cóż to za teoria? – Garry spojrzał wprost na McReady’ego.

– Taka, że stwór nie był martwy, lecz żył niezmiernie powolnym życiem. Jego egzystencja pozwalała mu jednak odczuwać jakoś upływ czasu i nasze przybycie po latach, które płynęły bez końca. Śniło mi się, że potrafi upodabniać się do innych istot – odpowiedział za niego Norris urywanym, niespokojnym głosem.

– No, cóż – mruknął Copper – rzeczywiście potrafi.

– Nie bądź głupcem – wypalił Norris. – Zresztą nie to mnie niepokoi. We śnie stwór mógł odczytywać czyjeś zamiary, myśli, poglądy, sposoby zachowania.

– A cóż w tym złego? Wydaje mi się, że martwi cię to bardziej aniżeli zabawa, jaką będziemy tu mieli z tym obłąkanym. – Copper kiwnięciem głowy wskazał śpiącego Blaira.

McReady potrząsnął ociężale swą wielką głową. – Wiesz, że Connant jest Connantem, ponieważ nie tylko wygląda jak Connant – zaczynamy już wierzyć, że stwór mógł też to osiągnąć – ale myśli jak Connant, mówi jak Connant, porusza się tak jak Connant. To, że wygląda jak Connant, nie dotyczy tylko ciała, ale i jego umysłu, sposobu myślenia i zachowania. Dlatego jeśli nawet wiesz, że potwór mógłby stać się podobny do Connanta, nie powinno cię to specjalnie niepokoić. Wiesz, że umysł ma z innego świata – całkowicie nieludzki umysł, który w żaden sposób nie pozwalałby mu reagować, myśleć i mówić tak, jak to czyni człowiek, i to, na tyle dobrze, aby nas choć przez moment okpić. Pomysł, że stwór naśladuje kogoś z nas, jest fascynujący, ale nierealny.

– Jak już powiedziałem – powtórzył Norris, uporczywie wpatrzony w McReady’ego – możesz mówić najgorsze rzeczy o najgorszej porze. Może byłbyś jednak tak dobry i dokończył myśl, tak lub inaczej?

Kinner, kucharz wyprawy o twarzy porytej bliznami, stał obok Connanta. Nagle precyzyjnie przesunął się przez zatłoczone pomieszczenie w kierunku swej kuchni. Z hałasem wybrał popiół z pieca.

– Na nic by mu się zdało jedynie wyglądać jak coś, co by próbował naśladować – powiedział doktor Copper tak cicho, jakby myślał na głos. – Musiałby zrozumieć uczucia i reakcje tej istoty. Stwór jest przecież nieludzki. Ma zdolności naśladowcze wykraczające poza ludzkie wyobrażenie. Dobry aktor, w wyniku ćwiczeń, może naśladować drugiego człowieka, jego sposób zachowania na tyle dobrze, żeby zwieść większość ludzi. Ale żadnemu aktorowi nie udałooby się naśladować kogoś tak doskonale, aby oszukać tych, którzy mieszkają razem z naśladowanym w antarktycznym obozie całkowicie pozbawionym intymności. Wymagałoby to nieosiągalnej umiejętności.

– Czyżbyś też się zaraził? – westchnął Norris.

Stojący samotnie w drugim końcu pomieszczenia Connant patrzył na niego błędnym wzrokiem. Twarz mu pobiadła. Z wolna przesuwał się krąg ludzi przepchnął się powoli w przeciwny koniec. Connant stał nadal samotnie.

– Na litość boską, moglibyście się już zamknąć, wy dwaj prorocy? – głos Connanta drżał. – Pytacie, kim jestem? Mikroskopowym preparatem, który poddajecie badaniu? Jakimś paskudnym robakiem, o którym rozprawiacie w trzeciej osobie?

McReady podniósł wzrok. Dłonie, splatane powolnym ruchem, znieruchomiały na chwilę.

– Rozkosznie się bawimy – zakpił. – Szkoda, że cię tu nie ma. Podpisane: wszyscy. Jeśli sądzisz, Connant, że przeżywasz diabelnie ciężkie chwile, postaw się na moment w naszej sytuacji – zaproponował. – Masz nad nami jedną przewagę: wiesz, jak jest naprawdę. Powiem ci: jesteś teraz człowiekiem budzącym największy strach i jednocześnie najbardziej szanowanym w Wielkim Magnesie.

– O Boże, żałuję, że nie możecie zobaczyć waszych oczu – westchnął Connant. – Przestańcie się gapić, dobrze! Co, do diabła, macie zamiar zrobić?

– Doktorze Copper, czy masz jakieś propozycje? – spytał stanowczo komandor Garry. – Obecna sytuacja jest nie do zniesienia.

– Ach, czyżby? – rzucił oschle Connant. – Podejź tu i spójrz na ten tłum. Na Boga! Oni wszyscy wyglądają dokładnie tak, jak tamta sfora huskych na zakręcie korytarza. Benning, czy możesz przestać podrzucać ten przeklęty topór do lodu?

Miedziane ostrze topora zadzwoniło o podłogę, gdy mechanik z lotnictwa nerwowo wypuścił go z rąk. Schylił się, by natychmiast go podnieść. Spokojnie ważył w dłoniach narzędzie i obracał je, obrzucając wszystkich szybkimi spojrzeniami brązowych oczu.

Copper usiadł na pryczy obok Blaira. Głośno zaskrzypiały deski. Gdzieś daleko w korytarzu skowyczał z bólu pies. Dolatywały nerwowe głosy poganiaczy zwierząt.

– Badanie mikroskopowe – odezwał się zamyślony doktor – byłoby, jak zauważył Blair, bezcelowe. Minęło już sporo czasu. Jednak próba krwi rozstrzygnęłaby sprawę.

– Próba krwi? Co konkretnie masz na myśli? – spytał komandor Garry.

– Jeżeli nieco krwi ludzkiej wstrzyknąć królikowi (to dla królika oczywiście trucizna, podobnie jak i krew każdego innego zwierzęcia poza nim samym), a potem wstrzyknięcia powtarzać przez jakiś czas, zwiększając dawkę, królik uodporni się na krew ludzką. Jeżeli pobrać od niego niewielką ilość krwi – wystarczającą do otrzymania czystej surowicy – i dodać trochę krwi ludzkiej, nastąpi wyraźna reakcja, świadcząca o tym, że krew dodana pochodziła od człowieka. Jeżeli dodano by krwi krowy lub psa lub jakiegokolwiek substancji białkowej innej aniżeli krew ludzka, nie wystąpiłaby żadna reakcja. Dowód byłby ostateczny.

– Czy wskażesz mi, gdzie mógłbym złapać dla ciebie królika, doktoru? – spytał Norris. – To znaczy gdzieś bliżej niż w Australii. Nie chcielibyśmy tracić czasu, udając się aż tak daleko.

– Wiem, że na Antarktydzie nie ma królików – Copper pokiwał głową – ale chodzi przecież o zwierzę. Nadaje się każde zwierzę z wyjątkiem człowieka, choćby pies. Tylko, że potrwa to kilka dni, a ze względu na większe rozmiary zwierzęcia wymaga znacznej ilości krwi. Dwóch z nas musi oddać krew.

– Może ja? – spytał Garry.

– To już jest dwóch – skinął głową Copper. – Od razu zabieram się do roboty.

– A co zrobimy teraz z Connantem? – spytał Kinner. – Prędzej wyszedłbym stąd i ruszył w kierunku Morza Rossa, niż miałbym dla niego gotować.

– On może być jednak człowiekiem... – zaczął Copper. Connant wybuchnął stekiem przekleństw.

– Człowiekiem! – krzyknął. – Być może! Ty cholerny, pieprzony konowale! A kim, do diabła, jestem według ciebie?

– Potworem – rzucił ostro Copper. – A teraz zamknij się i słuchaj. – Connant pobladł śmiertelnie na twarzy i usiadł ciężko, kiedy padły słowa oskarżenia. – Dopóki się nie upewnimy – wiesz równie dobrze, jak my, że mamy powód do podejrzeń i tylko ty znasz na nie odpowiedź – możesz się po nas spodziewać, że weźmiemy cię pod klucz, co będzie w pełni uzasadnione. Jeżeli nie jesteś istotą ludzką, to będziesz o wiele bardziej niebezpieczny niż ten biedak Blair, a dopilnuję, żeby go dokładnie zamknięto. Przypuszczam, że w następnym stadium obłądzenia zapragnie gwałtownie zabić ciebie, wszystkie psy i prawdopodobnie nas wszystkich. Kiedy się obudzi, będzie pewien, że nie jesteśmy ludźmi, i za nic w świecie nie zmieni tego przekonania. Byłoby łaskawiej pozwolić mu umrzeć, ale oczywiście nie możemy tego zrobić. Pójdzie do jednego baraku, a ty zostaniesz w Kosmicznym Domu ze swoim aparatem do pomiaru promieniowania. I tak byś się nim zajmował. Ja muszę teraz zająć się paroma psami.

– Jestem człowiekiem. – Connant z goryczą skinął głową. – Pośpieszcie się z tym testem. Wasze oczy, o Boże, żałuję, że nie możecie zobaczyć własnych oczu, jak się tak gapią...

Komandor Garry z niepokojem obserwował opiekuna psów Clarka, który trzymał dużego brązowego husky'ego, gdy Copper przystępował do zastrzyku. Pies nie był zbyt spokojny:

ukłucie igły bolało, a tego ranka przeszedł już poważny zabieg – pięć szwów zamknęło ranę biegnącą od grzbietu w poprzek żeber aż do połowy ciała. Jeden z długich kłów był odłamany. Brakującą część znaleziono wbity w kość grzbietu ohydny stwora ze stołu w Budynku Administracyjnym.

– Jak długo to potrwa? – spytał Garry, ujmując delikatnie swe przedramię. Było podrażnione od pobierania krwi.

– Szczerze mówiąc nie wiem – Copper wzruszył ramionami. – Znam metodę; stosowałem ją na królikach. Nie przeprowadzałem doświadczeń na psach. To zbyt duże i ciężkie zwierzęta jak na tego rodzaju eksperymenty. Zazwyczaj służą do nich króliki. W cywilizowanych miejscach można kupić od dostawców całą kolonię uodpornionych na krew ludzką królików, toteż niewielu badaczy zadaje sobie trud przygotowywania własnych zwierząt doświadczalnych.

– Co oni z nimi robią? – spytał Clark.

– Jedna rozległa dziedzina to kryminologia. A twierdzi, że nie zamordował B, a ślady krwi na jego koszuli pochodzą od zabitej kury. Policja przeprowadza test, po którym do A należy wytłumaczenie, jak to się dzieje, że krew z koszuli reaguje na krew królików uodpornionych na krew ludzką, a w przypadku uodpornionych na krew kury – nie.

– Co zrobimy na razie z Blairem? – spytał natarczywie Garry. – Wszystko jest w porządku, kiedy śpi tam, gdzie jest, ale co będzie, kiedy się obudzi...

– Barclay i Benning zakładają zasuwę w drzwiach do Kosmicznego Domu – odparł ponuro Copper. – Connant zachowuje się jak dżentelmen. Być może sposób, w jaki patrzy na niego cała reszta; sprawia, że raczej pragnie odosobnienia. Bóg jeden wie, jak przedtem każdy z nas modlił się o trochę samotności.

– O nie, dziękuję! Za dużo szczęścia na raz. – Clark zaśmiał się gorzko.

– Blair także będzie musiał mieć samotność... i dobre zamki – ciągnął swoje Copper. – Kiedy się obudzi, będzie miał już całkiem gotowy plan. Słyszeliście kiedyś o znakomitym sposobie zwalczania nosacizny u bydła?

Jeżeli nie pojawia się choroba pyska i racic, to się i nie pojawi – wyjaśnił Copper. – A jeżeli się pojawiła, to można się jej pozbyć zabijając wszystkie zwierzęta, u których występują objawy, i wszystkie te, które stykały się z chorymi. Blair jest biologiem i zna ten sposób. Boi się tego stwora, który się nam wymknął. Prawdopodobnie widzi całkiem jasne rozwiązanie – zabić wszystkich i wszystko, co żyje w tym obozie, zanim przyłeci tu z wiosną jakaś rybitwa albo zabłąkany albatros i zarazi się.

Usta Clarka wykrzywił szydery grymas.

– To brzmi dla mnie logicznie – powiedział. – Jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, być może lepiej będzie, jeśli pozwolimy Blairowi wydostać się na swobodę. Uchroniłoby nas to od popełnienia samobójstwa: Powinniśmy również złożyć jakieś ślubowanie, że jeżeli sprawy

potoczają się źle, dopilnujemy, żeby tak się naprawdę stało.

Copper zaśmiał się cicho. – Ostatni człowiek, jaki ostałby się przy życiu w Wielkim Magnesie, nie byłby człowiekiem – zauważył. – Ktoś będzie musiał zabić tych, którzy nie będą chcieli zabić się sami. Nie mamy na tyle termitu, aby zrobić to za jednym razem, a dekanitowy materiał wybuchowy nie przyda się tu specjalnie. Myślę, że niewielkie nawet cząstki którejs z tych istot okazałyby się samowystarczalne.

– Jeżeli potrafią dowolnie modyfikować własną protoplazmę, czy nie mogłyby po prostu zmienić się w ptaki i odlecieć? – spytał po namyśle Garry. – Mogą wiedzieć wszystko na temat ptaków i naśladować ich budowę nawet bez kontaktu z nimi. Albo też upodobnić się do ptaków ze swojej macierzystej planety.

Copper potrząsnął głową i pomógł Clarkowi wypuścić psa.

– Człowiek od wieków obserwował ptaki, chcąc na ich podobieństwo zbudować maszynę do latania – powiedział doktor. – Nigdy tej sztuki nie posiadał. Końcowy sukces osiągnął wtedy, gdy całkowicie oderwał się od pierwotnego zamiaru i spróbował nowego podejścia. Poznanie ogólnej zasady, a poznanie szczegółowej budowy skrzydła, kości i tkanki nerwowej, to dwie zupełnie różne rzeczy. A co do ptaków pochodzących z innego świata, jest bardzo prawdopodobne, że tutejsze warunki atmosferyczne są tak dalece odmienne, iż uniemożliwiłyby im latanie. Być może stwór pochodzi z planety podobnej do Marsa, planety gdzie atmosfera jest tak rozrzedzona, że nie ma tam w ogóle ptaków.

Do budynku wszedł Barclay, ciągnąc za sobą długą samolotową linkę sterowniczą.

– Skończone, doktorku. Kosmicznego Domu nie da się już otworzyć od wewnątrz. Gdzie umieścimy Blaira? – spytał.

– Nie mamy przecież budynku biologii – powiedział Copper, patrząc w stronę Garry’ego. – Nie wiem, gdzie można go odizolować.

– Co sądzisz o wschodnim schowku? – zaproponował Garry po chwili namysłu. – Czy Blair będzie w stanie sam się sobą zająć, czy będzie wymagać opieki?

– Poradzi sobie. My będziemy tylko mieli na niego oko – zapewnił Copper ponuro. – Weź piecyk, kilka worków z węglem, potrzebne zapasy i trochę narzędzi, aby to wszystko zainstalować. Nikt tam przecież nie był od ostatnich opadów.

– Jeśli on zacznie hałasować – Garry skinął głową – myślę, że to będzie dobry pomysł.

Barclay podrzucał w dłoniach przyniesione przez siebie narzędzia. Spojrzał na Garry’ego.

– Sądząc po obecnym mamrotaniu, w nocy będzie tak zawodził godzinami – powiedział. – A nam nie spodoba się ta pieśń.

– Co on gada? – spytał Copper.

– Nie wsłuchiwałem się za bardzo – Barclay potrząsnął głową. – Jak chcesz, to sam posłuchaj. Zrozumiałem tyle, że temu przekłętemu idiocie przyśniło się to samo co

McReady'emu albo jeszcze więcej. Nie zapominajcie, że kiedy zatrzymaliśmy się po drodze z Drugiego Magnetycznego, on spał obok potwora. Śniło mu się, że stwór żyje i jeszcze kilka szczegółów. A na dodatek wiedział albo miał powody się domyślać, że nie wszystko było snem. Wiedział, że stwór ma pewne zdolności telepatyczne i że potrafi nie tylko odczytywać czyjeś zamiary, ale także wysyłać myśli. To nie były sny, jak widać. To były oderwane myśli, które stwór przekazywał w taki sposób, jak obecnie nadaje swoje myśli Blair.

Rodzaj telepatycznego mamrotania przez sen. Dlatego Blair tak dużo wiedział o zdolnościach stwora. Wydaje mi się, że jeśli wierzyć w telepatię, my, doktoru, nie byliśmy aż tak wrażliwi.

– Ja muszę w nią wierzyć – westchnął Copper. – Doktor Rhine wykazał, że telepatia istnieje. Udowodnił również i to, że niektórzy są na nią bardziej podatni od innych.

– No cóż, jeśli chcesz poznać więcej szczegółów, idź i posłuchaj transmisji Blaira. Wygonił już większość chłopaków z budynku administracji; Kinner dzwoni garnkami jak spadający zsympem węgiel. A jak nie dzwoni, to wytrząsa popiół.

– Acha, szefie, a co zrobimy na wiosnę, skoro samoloty jako transport odpadają?

– Obawiam się, że nasza ekspedycja skończy się fiaskiem – westchnął Garry. – Nie możemy się teraz rozdrabniać.

– Nie skończy się fiaskiem, jeżeli przeżyjemy i wyjedziemy stąd – obiecał Copper. – Odkrycie, którego dokonaliśmy, jeśli zdołamy nad nim zapanować, jest wystarczająco ważne. Prace nad badaniem promieniowania kosmicznego, pola magnetycznego i atmosfery nie ulegną zahamowaniu.

Garry zaśmiał się ponuro.

– Pomyślałem właśnie o transmisjach radiowych – powiedział. – O poinformowaniu połowy świata o wspaniałych wynikach naszych lotów badawczych, o próbie oszukania tamtych, takich jak Byrd i Ellsworth, że w ogóle coś robimy.

– Zorientują się, że coś nie tak. – Copper z powagą pokręcił głową. – Ludzie tacy, jak oni mają wystarczająco wiele rozumu, aby wiedzieć, że nie uciekaliśmy się do wybiegu bez przyczyny. Zaczekają do naszego powrotu, żeby nas osądzić. Myślę, że wszystko sprowadza się do tego: ci, którzy wiedzą na tyle dużo, aby odkryć nasze; szachrajstwo, czekają, aż wrócimy. Ci, którzy nie mają na tyle rozsądku i zaufania; aby czekać, nie mają też i doświadczenia, które pozwoliłoby im wykryć oszustwo. Znamy się wystarczająco dobrze na panujących tu warunkach, żeby sprzedać dobrą blagę.

– Oby tylko nie wysłali ekspedycji ratunkowych – jęknął Garry. – Kiedy, jeśli w ogóle, będziemy mogli się stąd wydostać, będziemy musieli przekazać wiadomość kapitanowi Forsythe'owi, aby wybierając się tutaj zabrał ze sobą zapas iskrowników. Zresztą nie ma o czym mówić.



– Chciałeś powiedzieć: jeśli się stąd nie wydostaniemy? – spytał Barclay. – Zastanawiałem się, czy pomogłaby nam ładna relacja radiowa z jakiejś erupcji wulkanu lub trzęsienia ziemi z bombowym zakończeniem, dzięki lasce dekanitu umieszczonej pod mikrofonem. Ludzi oczywiście nigdy nie da się całkowicie odstraszyć. Któraś z tych melodramatycznych scen w rodzaju „ostatni-żywy-człowiek” mogłaby równie łatwo nakazać im wyruszyć.

– Czy wszyscy w obozie tak to sobie wyobrażają? – Garry uśmiechnął się ze szczerą wesołością.

– Co ty na to, Garry? – Copper roześmiał się. – Jesteśmy pewni wygranej. Ale nie będzie o nią tak łatwo.

– Powiedziałeś: pewni, doktoru? – skrzywił się w uśmiechu Clark, który głaskał właśnie psa, aby go uspokoić.

## 8

Blair chodził nerwowo po wnętrzu niewielkiej budy. Rzucał przelotne, urywane i niepewne spojrzenia na czterech towarzyszących mu mężczyzn. Byli to: Barclay – sześć stóp wzrostu i ponad sto dziewięćdziesiąt funtów wagi, McReady – olbrzym z brązu, doktor Copper – niski, ale krępy, potężny, i Benning – pięć stóp, dziesięć cali stalowej siły.

Blair przycupnął skulony pod przeciwległą ścianą wschodniego schowka. Narzędzia zwalone na kupę pośrodku podłogi obok pieca ogrzewczego tworzyły wysepkę oddzielającą uwięzionego od czterech przybyłych. Panicznie wystraszony, dygocząc nerwowo, biolog zaciskał kościste dłonie. Wyblakłe oczy migotały niespokojnie, a łysa, piegowata głowa poruszała się szybko, jak u ptaka.

– Nie chcę, żeby tu ktokolwiek przychodził. Sam będę sobie gotował – rzucił szorstko i nerwowo. – Kinner może być sobie człowiekiem, ale ja w to nie wierzę. Zamierzam wydostać się stąd i nie będę jadł tego, co mi przysłacie! Chcę konserwy. Zamknięte puszki.

– W porządku, Blair. Przyniesiemy ci je dziś wieczorem – obiecał Barclay. – Masz węgiel, a ogień już się rozpała. – Barclay ruszył naprzód. – Jeszcze tylko..:

Blair natychmiast popędził w najdalszy kąt.

– Wyoś się! – krzyknął. – Trzymaj się ode mnie z daleka, ty potworze! – Mały biolog wrzeszczał, próbując wydrapać dziurę w ścianie budy. – Trzymaj się ode mnie z daleka! Nie zbliżaj się! Nie dam się wchłonać. Nie dam...

Barclay cofnął się.

– Zostaw go, Bar. – Doktor Copper potrząsnął głową. – Będzie mu łatwiej uporać się z tym samemu. Myślę, że musimy zaryglować drzwi.

.Czterech mężczyzn skierowało się do wyjścia. Benning i Barclay zabrali się wprawnie do pracy. Na Antarktydzie nie używano zamków – nie były potrzebne. Jednak po obu stronach futryny drzwi wkręcono masywne śruby, a między nimi przeciągnięto naprężoną samolotową linkę sterowniczą. Barclay przystąpił do pracy ze świdrem i piłą otwornicą. Niebawem wyciął w drzwiach kłapę, po odchyleniu której można było podawać potrzebne rzeczy bez rozmontowywania całego zabezpieczenia. Trzy potężne zawiasy wyjęte ze skrzyni dostawczej, dwa skoble i podwójne trzycalowe zawlecзки zabezpieczyły ją przed otwarciem od wewnątrz.

Blair poruszał się nerwowo po wnętrzu. Przeciągnął coś w stronę drzwi ciężko dysząc i mamrocząc zapamiętałe jakieś szalone przekleństwa. Barclay otworzył kłapę i zajrzał do środka. Doktor Copper spoglądał mu przez ramię. Blair przesunął ciężką pryczę pod drzwi. Teraz bez jego udziału nie można będzie ich otworzyć.

– Nie wiem, czy ten biedak nie ma racji – westchnął McReady. – Jeżeli wydostanie się na zewnątrz, będzie dążył do zabicia nas wszystkich możliwe jak najszybciej, a my nie mamy na to

ochoty. Ale po naszej stronie drzwi jest ktoś jeszcze gorszy niż szalony morderca. Jeżeli któryś z tych dwóch miałby wydostać się na swobodę, wtedy ja rozwalę te wszystkie zabezpieczenia.

– Dasz mi znać, a pokażę ci, jak je szybko, zdjąć – uśmiechnął się Barclay. – Wracajmy – rzucił.

Słońce, chociaż już od dwóch godzin znajdowało się poniżej linii horyzontu, wciąż malowało północny widnokrąg wszystkimi kolorami tęczy. Połacie nawianego śniegu przesunęły się w kierunku północnym i pod łukiem płonących barw iskrzyły się milionem odbitych blasków. Niskie, okrągłe, białe kopce na północnym horyzoncie pozwalały zauważyć, że Góry Magnetyczne ledwie wystają ponad rozległą śnieżną płaszczyznę. Małe wiry podrywanego wiatrem śniegu ześlizgiwały się z nart, kiedy zmierzali w stronę odległego o dwie mile głównego obozowiska. Cienka jak pajęczka nić kratownica masztu radiowego wznosiła się chudą, czarną iglicą na tle bieli antarktycznego łądu. Śnieg pod nartami przypominał drobny piasek o twardych ziarenkach.

– Przyszła wiosna – powiedział z goryczą Benning. – Ale mamy uciechę! Tak czekałem, żeby się wydostać z tej przeklętej lodowej dziury...

– Na twoim miejscu teraz bym nie próbował – mruknął Barclay. – Faceci, którzy wyruszą stąd w ciągu najbliższych kilku dni, nie będą zbyt popularni.

– Jak się miewa twój pies, doktorze Copper? – spytał McReady. – Czy są już jakieś wyniki?

– Po trzydziestu godzinach? Dobrze by było. Zrobiłem mu dzisiaj zastrzyk z mojej własnej krwi. Przypuszczam, że będę potrzebował jeszcze z pięć dni. Za mało wiem na pewno, żeby skończyć wcześniej.

– Zastanawiam się, czy Connant – gdyby uległ przemianie – ostrzegłby nas zaraz po ucieczce stwora? Czy nie czekałby, aż stwór miałby realną szansę się zestalić? Dopóki nie obudzilibyśmy się sami – spytał wolno McReady.

– Stwór jest egoistą. Nie sądzisz chyba, że wyglądał na obdarzonego poczuciem jakiejś wyższej sprawiedliwości? – zapytał doktor Copper. – Każda jego część stanowi całość, całość samą dla siebie. Gdyby Connant uległ przemianie; musiałby tak postąpić, chcąc ratować własną skórę. Ale uczucia Connanta pozostały nie zmienione. Są więc doskonale skopiowane lub są jego własnymi uczuciami. Oczywiście imitacja Connanta, doskonale naśladowająca jego uczucia, zachowywałaby się dokładnie tak, jak on sam.

– Zaraz, czy Norris albo Van nie mogliby poddać Connanta jakiemuś testowi? Jeżeli stwór jest inteligentniejszy niż ludzie, powinien lepiej znać się na fizyce niż Connant, a oni by to wychycili – zaproponował Barclay.

– Ale nie wtedy, jeżeli odczytuje myśli – potrząsnął przecząco głową znużony Copper. – Nie można zastawić na niego pułapki. Van proponował to już wczoraj wieczorem. Miał nadzieję uzyskać w ten sposób odpowiedź na niektóre istotne dla niego pytania z dziedziny fizyki.

– Ten pomysł wyprawy czterech uczyni życie szczęśliwszym – powiedział Benning, spoglądając na towarzyszy. – Każdy pilnuje pozostałych, żeby upewnić się, czy nie robią czegoś... dziwnego. Czyż nie możemy stać się grupą ufających sobie ludzi? Żaden nie spuszcza z oka sąsiadów, dając najwspanialszy pokaz wiary i zaufania. Zaczynam rozumieć, co miał na myśli Connant, mówiąc „szkoda, że nie możecie zobaczyć waszych oczu”. Cały czas wszyscy na to cierpimy. Każdy z was rozgląda się dookoła z wyrazem twarzy mówiącym „ciekaw jestem, czy reszta to...”. Nawiasem mówiąc, nie wykluczam siebie.

– O ile mi wiadomo, zwierzę nie żyje, z lekkim zastrzeżeniem, jeśli idzie o Connanta. Nikt inny nie jest podejrzany – oświadczył McReady. – Polecenie „zawsze czwórki” to jedynie środek ostrożności.

– Czekam, aż Garry zrobi z tego „czwórkę na jednej pryczy” – westchnął Barclay. – Myślałem sobie, że nie miałem dotąd ani odrobiny intymności, no, ale od tamtego polecenia...

Nikt nie obserwował przebiegu testu z większym napięciem niż Connant. Mała sterylna probówka, wypełniona do połowy cieczą koloru słomkowego. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć kropli czystego roztworu, który doktor Copper przygotował z kropli krwi pobranej z ręki Connanta. Probówka została dokładnie wstrząśnięta, a potem umieszczona w zlewce z czystą, ciepłą wodą. Termometr odczytywał ciepłość krwi, niewielki termostat klekotał hałaśliwie, elektryczny grzejnik rozżarzył się, z chwilą gdy delikatnie zamigotały światełka.

Potem zaczęły tworzyć się nieduże białe plamki osadu, który strącał się w przezroczystej słomkowej cieczy.

– O Boże! – krzyknął Connant i opadł ciężko na pryczę, łkając jak dziecko. – Sześć dni – szlochał – sześć dni zastanawiania się, czy ten cholemy test skłamię... Garry przysunął się bezgłośnie i położył dłoń na plecach fizyka.

– Nie mógł skłamać – powiedział doktor Copper. – Pies był uodporniony na krew ludzką... i surowica zareagowała.

– A więc on jest... w porządku? – westchnął ciężko Norris. – To znaczy, że stwór nie żyje... jest martwy na zawsze?

– On jest człowiekiem – stanowczo oświadczył Copper. – A zwierzę nie żyje.

Kinner wybuchnął histerycznym śmiechem. McReady odwrócił się w jego stronę i uderzył go w twarz – metodycznie, po dwa razy w każdy policzek. Kucharz śmiał się, dławił, przez chwilę krzyczał, a potem usiadł wyprostowany, rozcierając policzki i niewyraźnie mamrocząc słowa podziękowania.

– Bałem się, o Boże, jak ja się bałem – powiedział.

– Myślisz, ty mało, że my nie? Sądzisz może, że Connant się nie bał? – zaśmiał się urywanie Norris.

Budynek administracji ożywił się nagle. Słychać było śmiechy, ludzie zgromadzeni wokół

Connanta rozprawiali niepotrzebnie gromkim głosem, podnieceni, pełni wigoru, odprężeni i na powrót przyjaźni. Ktoś rzucił nagle propozycję i kilkanaście osób ruszyło po narty. Blair. Blair mógłby już dojść do siebie. Doktor Copper krzątał się przy swoich próbkach i badał roztwory, jeszcze zaaferowany, ale z uczuciem ulgi. Za drzwiami ruszyła do budy Blaira wyprawa uspokojonych, odprężonych mężczyzn. Hałaśliwie kłapały narty. W głębi korytarza psy, które ogarnął również nastrój ulgi i podniecenia, podniosły zaraz wrzaskliwy skowyt.

Doktor Copper krzątał się nadal przy próbkach. Siadł na brzegu pryczy z dwiema próbkami wypełnionymi słomkową cieczą i strąconym, bielejącym osadem. Twarz miał bielszą niż zawartość próbek, a oczy szeroko otwarte z przerażenia. Milczał. Po policzkach spływały łzy.

Pierwszy spostrzegł to McReady. Poczul, jak lodowaty nóż mrozi mu pierś i przeszywa serce. Doktor Copper podniósł wzrok.

– Garry – zawołał ochryłym głosem. – Garry, na miłość boską, chodź tutaj! Komandor Garry podszedł szybko do niego. W budynku administracyjnym zapadło nagle milczenie. Connant spojrział w górę i zdrętwiały wstał z krzesła.

– Garry... strąca się również tkanka potwora. To niczego nie dowodzi. Niczego poza tym... poza tym, że pies był także uodpomiony na krew potwora. Znaczy to, że jedna z dwóch składowych krwi... jeden z nas, ty czy ja, Garry... jeden z nas jest potworem.

## 9

– Bar, zawróć ludzi, zanim powiedzą Blairowi – odezwał się spokojnie McReady.

Barclay podszedł do drzwi. Jego krzyki ledwie docierały do znajdujących się wewnątrz, milczących w napięciu mężczyzn. Wkrótce Barclay był z powrotem.

– Już idą – powiedział. – Nie mówiłem im, dlaczego mają wracać. Powiedziałem tylko, że doktor Copper tak kazał.

– McReady – westchnął Garry – niech cię Bóg wspomaga. Teraz ty dowodzisz. Ja nie mogę.

Olbrzym z brązu powoli skłonił głowę, patrząc swymi głęboko osadzonymi oczyma na komandora Garry'ego.

– Ja mogę nim być – dodał Garry. – Wiem, że nie jestem, ale w żaden sposób nie mogę tego dowieść. Test doktora Coppera zawiódł. Ale doktor Copper wykazał jego bezużyteczność, podczas gdy niewykazanie byłoby korzystne dla potwora. Dowodziłoby, że jest istotą ludzką.

Copper kołysał się powoli na pryczy.

– Wiem, że jestem człowiekiem, i również nie potrafię tego udowodnić – powiedział. – Jeden z nas dwóch kłamie, ponieważ test kłamać nie może i wskazuje, na któregoś z nas. Udowodniłem nieskuteczność testu, co chyba dowodzi, że jestem człowiekiem. Garry dostarczył teraz argumentu, który dowodzi mego człowieczeństwa – a będąc potworem, nie zrobiłby tego. I tak w kółko, bez końca...

Głowa doktora Coppera, a potem szyja i ramiona zaczęły zataczać powolne kręgi w rytm słów. Nagle padł na wznak na pryczę, rycząc ze śmiechu.

– Test wcale nie musi dowodzić, że jeden z nas jest potworem! Wcale nie musi tego dowodzić! Cha, cha! – zaśmiewał się Copper. – Jeżeli wszyscy bylibyśmy potworami, reakcja byłaby taka sama! Wszyscy jesteśmy potworami... wszyscy... Connant i Garry, i ja... i wy wszyscy.

– McReady – odezwał się łagodnie Van Wall, jasnobrody pierwszy pilot – studiowałeś medycynę, zanim zająłeś się meteorologią, zgadza się? Czy potrafisz przeprowadzić jakiś test?

McReady podszedł powoli do Coppera, wyjął mu z ręki strzykawkę i umył ją dokładnie w dziewięćdziesięciopięcioprocentowym alkoholu. Garry siedział na brzegu pryczy z tępym wyrazem twarzy i beznamyślnie obserwował Coppera i McReady'ego.

– Może być tak, jak powiedział Copper – westchnął McReady. – Mógłbyś mi pomóc, Van? Dziękuję ci. – Wbił igłę w udo Coppera. Śmiech mężczyzny nie ustawał, tylko przechodził powoli w tłumione łkanie. Później, kiedy zaczęła działać morfina, doktor zapadł w głęboki sen.

McReady odwrócił się. Ludzie, którzy wyruszyli wcześniej do Blaira, stali w przeciwnym końcu pomieszczenia; z ich nart spływał topniejący śnieg. Twarze mieli śnieżnobiałe. Connant w jednej i w drugiej ręce trzymał zapalone papierosy. Tego z prawej pociągał, i – nieobecny

myślami – gapił się w podłogę. Żar drugiego, tego w lewej, przyciągnął nagle jego uwagę. Spojrzał na niedopałek, a potem tępo wpatrywał się przez chwilę w drugi. Wreszcie rzucił jednego i zgniótł obcasem.

– Doktor Copper mógł mieć rację – powtórzył McReady. – Wiem, że jestem człowiekiem, ale oczywiście nie potrafię tego udowodnić. Powtórzę test dla własnej satysfakcji. Ci spośród was, którzy chcą, mogą zrobić to samo.

Dwie minuty potem McReady trzymał już probówkę z białym osadem, wytrącającym się powoli z surowicy o słomkowej barwie.

– Reaguje również na krew ludzką – powiedział. – Zatem obaj nie są potworami.

– Nigdy nie uważałem, że są – westchnął Van Wall. – Potworowi by to nie odpowiadało; gdybyśmy wiedzieli, moglibyśmy ich zgładzić. Jak sądzisz, dlaczego potwór nas nie zabił? Chyba jest na wolności.

McReady parsknął głośnym śmiechem. Potem śmiał się już ciszej.

– To proste, drogi Watsonie – powiedział. – Potwór chce mieć do dyspozycji żywe organizmy. Wyraźnie nie może ożywić martwego ciała. Po prostu czeka – czeka, aż nadarzy się sposobność. Nas, którzy pozostaliśmy ludźmi, trzyma w rezerwie.

– Ej, tam! Mac! Mógłbym się dowiedzieć, czy jestem potworem? – wzdrygnął się gwałtownie Kinner. – Mógłbym wiedzieć, czy potwór już mną zawładnął? O Boże, ja już mogę być potworem!

– Dowiesz się – odpowiedział McReady.

– Ale my się nie dowiemy. – Norris śmiał się gwałtownie, na pół histerycznie. McReady spoglądał na fiolkę z resztką surowicy.

– Jest jedna rzecz, do której ta przeklęta ciecz się nadaje – powiedział po namyśle. – Clark, czy pomożecie mi z Vanem? Reszta niech lepiej trzyma się razem. Pilnujcie się nawzajem – dodał z goryczą. – Uważajcie, żebyście nie wpadli w jakąś kabałę!

McReady ruszył korytarzem w kierunku Psiego Obozu. Za nim podążali Clark i Van Wall.

– Potrzebujesz więcej surowicy? – spytał Clark. McReady potrząsnął przecząco głową.

– Trzeba więcej testów – odparł. – Mamy jeszcze cztery krowy, byka i prawie siedemdziesiąt psów. Ta surowica reaguje tylko na krew ludzką... i potworów. McReady wrócił do budynku administracyjnego i podszedł w milczeniu do umywalki. Po chwili dołączyli do niego Clark i Van Wall. Usta Clarka poruszał nerwowy tik, który przeszedł nagle w nieoczekiwany szyderczy śmiech.

– Co robiliście? – wybuchnął nagle Connant. – Dalsze szczepionki?

– Szczepionki. Cha, cha! Jasne, szczepionki – parsknął Clark.

– Ten potwór ma swoją logikę – powiedział dobitnie Van Wall. – Nasz uodporniony pies był całkiem w porządku. Pobraliśmy nawet trochę więcej surowicy do testów, ale nie będziemy już

ich przeprowadzać.

– Nie możesz... nie możesz użyć krwi któregoś z ludzi do doświadczeń z innym psem? – zaczął Norris.

– Nie mamy więcej psów – powiedział łagodnie McReady. – Ani bydła, dodam.

– Nie mamy więcej psów? – zdziwił się Benning, siadając powoli.

– Stają się obrzydliwe, kiedy zaczynają się zmieniać... tak powoli – uściślił Van Wall. – To żelastwo do śmiertelnego rażenia prądem, które ty, Barclay, skonstruowałeś, działa bardzo szybko. Został tylko jeden pies – ten uodporniony. Potwór zostawił go nam, abyśmy mogli pobawić się tym naszym testem. Reszta... – Van Wall wzruszył ramionami i wytarł ręce.

– Bydło... – wykrzyknął Kinner.

– Równie paskudnie. Prześliczna reakcja. Bydło wygląda piekielnie zabawnie, kiedy zaczyna się stapanie. Zwierzę, skrępowane łańcuchami albo postronkami, nie może podjąć szybkiej ucieczki, i musi nastąpić upodobnienie.

Kinner wstał powoli, rozglądając się gwałtownie dookoła. Zatrzymał się, cały w okropnych drgawkach, przy stojącym w kuchni blaszanym wiadrze. Powolutku, krok za krokiem wycofywał się w stronę drzwi. W milczeniu otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona z wody.

– Mleko... – Z trudem łapał oddech. – Doilem godzinę temu... – wybuchnął przeraźliwym krzykiem, dając nura przez drzwi. Znalazł się na zewnątrz na lodowej pokrywie bez skafandra, bez grubej odzieży.

Van Wall przez chwilę patrzył za nim w zamyśleniu.

– Chyba zupełnie oszalał – odezwał się wreszcie – ale może też być uciekającym potworem. Nie ma nart. Weźcie palnik, na wypadek...

Pościg za Kinnerem pomógł im; to trzeba było zrobić. Trzech mężczyzn, którzy pozostali, wymiotowało. Norris leżał płasko na wznak. Twarz miał zielonkawą, nieruchomy wzrok wbił w pryczę nad sobą.

– Mac, od jak dawna krowy nie są już krowami?

McReady wzruszył rozpaczliwie ramionami. Trzymając niewielką probówkę z surowicą podszedł do wiadra z mlekiem i zabrał się do pracy. Mleko zabarwiło surowicę, nie pozwalając na pewną ocenę. W końcu umieścił probówkę w stojaku. Pokręcił głową.

– Test jest negatywny – powiedział. – Co oznacza, że albo w czasie dojenia były krowami, albo jako doskonałe imitacje, dawały zupełnie normalne mleko.

Copper wiercił się niespokojnie i wydawał przez sen odgłosy bulgotania, coś pośredniego między chrapaniem a śmiechem. Zebrani w milczeniu utkwili w nim wzrok.

– Czyżby na potwora morfina... – ktoś zaczął pytać.

– Bóg raczy wiedzieć. – McReady wzruszył ramionami. – Działa na wszystkie ziemskie zwierzęta, które znam.



– Mac! – Connant uniósł nagle głowę. – Psy musiały połknąć kawałki potwora i to je zabiło! Znajdowały się tam gdzie i potwór. Ja byłem zamknięty. Czy to nie dowodzi...

– Przykro mi – potrząsnął przecząco głową Van Wall – ale to nie dowodzi, kim ty jesteś. Dowodzi tylko, czego nie zrobiłeś.

– Istotnie, nie dowodzi – westchnął McReady. – Jesteśmy bezradni, ponieważ za mało wiemy, a ze zdenerwowania nie myślimy logicznie. Zamknięty! Czy obserwowaliście kiedykolwiek białe ciało krwi przedostającą się przez ściankę naczyń krwionośnych? Nie? Wysuwa nibynóżkę. I już jest... po przeciwnej stronie ścianki.

– Och! – jęknął Van Wall. – Bydło zaczęło się roztopiać, zgadza się? Mogło się roztopić i w postaci nitki ciecży przesączyłoby się pod drzwiami i zestało ponownie po drugiej stronie. Liny – o, te by nic nie pomogły. Dopiero w czymś szczelnie zamkniętym albo...

– Jeżeli przetrzeliś zwierzęciu serce – zaczął McReady – a ono nie umrze, znaczy że jest potworem. To najlepszy test, jaki przychodzi mi do głowy na poczekaniu.

– Nie ma żadnych psów ani żadnego bydła – odparł spokojnie Garry. – Teraz musi upodabniać się do ludzi. Trzymanie pod kluczem na nic się tu nie zda. Twój test mógłby zdać egzamin, Mac, ale obawiam się, że trudno go stosować wobec ludzi.

Clark podniósł wzrok znad kuchennego pieca, gdy strzepując z ubrań nawiany przez wiatr śnieg, wchodzili Van Wall, Barclay, McReady i Benning. Pozostali, stłoczeni w budynku administracyjnym, zajmowali się różnymi czynnościami – grali w szachy, w pokera, czytali. Ralsen naprawiał na stole sanie, Van i Norris głowa przy głowie śledzili dane magnetyczne, Harvey odczytywał półgłosem tabele.

Doktor Copper pochrapywał cicho na pryczy. Garry pracował z Duttonem nad plikiem wiadomości radiowych. Zajmowali kąć łóżka Duttona i niewielki skrawek stolika pod radio. Connant wykorzystywał część stołu na studiowanie arkuszy danych dotyczących promieniowania kosmicznego.

Pomimo zamkniętych podwójnych drzwi z korytarza całkiem wyraźnie dobiegał głos Kinnera. Clark trzasnął kociołkiem o piec kuchenny i przywołał gestem McReady'ego. Meteorolog podszedł do niego.

– Nie mam nic przeciwko temu cholememu gotowaniu – odezwał się zdenerwowany Clark – ale może jest jakiś sposób na uciszenie tego drania? Wszyscy zgodziliśmy się co do tego, że byłoby bezpiecznie ulokować go w Kosmicznym Domu.

– Kinnera? – McReady kiwnął głową w stronę drzwi. – Obawiam się, że nie. Mogę podać mu narkotyk, jednak nie dysponujemy nieograniczonym zapasem morfiny. Po prostu histeryzuje; nie grozi mu niebezpieczeństwo utraty zmysłów.

– Ale nam zaczyna grozić. Przez półtorej godziny byłeś na zewnątrz. Trwa to nieprzerwanie od prawie czterech godzin. Wszystko ma swoje granice.

Garry przechadzał się powoli. McReady dostrzegł na moment w oczach Clarka dziki błysk strachu, a nawet przerażenia. Zdał sobie sprawę, że jego oczy w tej samej chwili musiały zdradzać to samo. Tak, Garry – to znaczy Garry albo Copper – był na pewno potworem.

– Gdybyś mógł przestać, Mac, byłoby to bardzo rozsądne – odparł spokojnie Garry. – W tym pomieszczeniu sytuacja jest i tak dosyć napięta. Zgodziliśmy się, że tamto miejsce byłoby dla Kinnera dobre, ponieważ wszyscy inni w obozie są pod stałą obserwacją – Garry z lekka zadrzał. – Spróbuj, na litość boską, spróbuj wymyślić jakiś skuteczny test.

– Pod obserwacją, czy nie, każdy jest spięty – westchnął McReady. – Blair zablokował kłapę tak, że się teraz nie otworzy. Mówi, że ma dosyć żarcia i nie przestaje wrzeszczeć „wynoście się, wynoście się, jesteście potworami. Ja nie dam się wchłonać. Nie! Powiem wszystko ludziom, jak tu przyjdą. Wynoście się.” Wobec tego odeszliśmy.

– Nie ma innego testu? – błagał Garry. McReady wzruszył ramionami.

– Copper miał całkowitą rację – powiedział. – Próba krwi mogłaby być absolutnie rozstrzygająca, gdyby nie doszło do zakażenia. Ale jedyny pies, który pozostał, jest teraz

odporny.

– A chemikalia? Testy chemiczne?

– Nasza chemia nie da sobie z tym rady. – McReady zaprzeczył ruchem głowy. – Próbowałem z mikroskopem, jak wiesz.

– Pies-potwór i prawdziwy pies były identyczne – przytaknął Garry. – Ale musisz działać dalej. Co będziemy robili po obiedzie?

Van Wall przyłączył się do nich w milczeniu.

– Spanie na zmianę – powiedział. – Połowa śpi, połowa czuwa. Ciekaw jestem, ilu z nas to potwory? Wszystkie psy nimi były. Wydawało nam się, że jesteśmy bezpieczni, ale jakoś padło na Coppera albo na ciebie. – Oczy Van Walla błyszczały niepokojąco. – On może ośwładnął wami wszystkimi. Wszystkimi oprócz mnie. A ja będę się tylko przyglądał i dziwował. Nie, to niemożliwe. Rzucilibyście się wtedy na mnie. Byłbym bezradny. My, istoty ludzkie, chyba jakoś na razie zachowujemy przewagę liczebną. Ale... – tu przerwał.

– Robisz teraz to, o co miał do mnie żal Norris – zaśmiał się McReady. – Pozostawiasz sprawę w zawieszeniu. „Jeżeli ktoś jeszcze ulegnie przemianie, zachwieje się równowaga sił.” Ten stwór nie walczy. Nie sądzę, aby kiedykolwiek walczył. To musi być stworzenie spokojne, na swój własny, niepowtarzalny sposób. Nigdy nie musiał walczyć, ponieważ zawsze osiągał swój cel inaczej.

Usta Van Walla wykrzywił brzydki grymas.

– Sugerujesz zatem, że może być tak, iż on już ma przewagę liczebną, tylko po prostu czeka – powiedział. – Oni wszyscy, może i wy wszyscy, czekacie, aż ja, ostatni z ludzi, utracę czujność we śnie. Mac, zauważyłeś ich spojrzenia, to, jak wszyscy na nas patrzą?

– Nie siedziałeś tutaj przez cztery godziny, kiedy oczy wszystkich ważyły informację o tym, że jeden z nas, Copper albo ja, jest na pewno potworem. A może obydwaj – westchnął Garry.

– Czy moglibyście uciszyć tego typa? – powtórzył swoją prośbę Clark. – Można od tego zbzikować. Każcie mu być ciszej.

– Wciąż się modli? – spytał McReady.

– Owszem – jęknął Clark. – Nie przerwał ani na sekundę. Nie mam nic przeciwko temu, żeby się modlił, jeśli przynosi mu to ulgę, ale on wyje, wyśpiewuje psalmy i hymny, wykrzykuje modlitwy. Myśli chyba, że Bóg go dobrze nie słyszy z tak daleka.

– Być może Bóg nie słyszy – odkrzyknął Barclay. – Inaczej zrobiłby coś z tym stworem z piekła rodem.

– Ktoś spróbuje przeprowadzić ten test, o którym wspominałeś, jeżeli się go nie powstrzyma – oświadczył groźnie Clark. – Myślę, że cios tasakiem w głowę byłby tak samo dobrym testem, jak kula w serce.

– Wracaj do swojego gotowania. Zobaczę, co się da zrobić. Może znajdę coś w szafkach –

McReady przeszedł powoli w kąt pomieszczenia, gdzie znajdowała się apteczka Coppera. Trzy wysokie szafki z surowych desek, z czego dwie zamknięte na klucz, stanowiły obozowy skład leków. Dwanaście lat temu McReady uzyskał dyplom lekarza i kiedy zaczął praktykę lekarską, skierowano go na meteorologię. Copper był człowiekiem kompetentnym, dokładnie i w sposób nowoczesny znającym swój zawód. Ponad połowa dostępnych lekarstw była całkowicie nieznana McReady'emu; zastosowanie wielu spośród pozostałych musiałby sobie przypomnieć. Nie było tu ogromnej biblioteki lekarskiej ani roczników czasopism, w których mógłby przeczytać to, co zapomniał. Informacje o podstawowych, prostych dla Coppera rzeczach nie zasługiwały na włączenie do skromnej biblioteki, którą meteorolog zmuszony był się zadowolić. Książki są ciężkie, a każdy gram tego, co się tu znalazło, musiał być dostarczony drogą powietrzną.

McReady, mając nadzieję, że robi dobrze, wybrał jakiś barbituran. Barclay i Van Wall udali się razem z nim. W Wielkim Magnesie nikt nigdy i nigdzie nie chodził samotnie.

Ralsen uprzątnął sanie, a fizycy przesunęli stół. Przerwano grę w pokera. Clark nakładał potrawy. Dzwonienie łyżek i tłumione odgłosy jedzenia stanowiły jedyną oznakę życia w tym pomieszczeniu. Kiedy trójka wróciła, nie padło żadne słowo, jedynie wszystkie oczy skierowały się na nich badawczo, a szczęki poruszały się mechanicznie.

Nagle McReady zeszywniał. Kinner zaskrzeczał jakąś pieśń religijną ochryłym jak przy mutacji głosem. McReady, mając już dość, potrząsnął głową i spojrzał na Van Walla.

Van Wall zaklął siarczyście i usiadł przy stole.

– Będziemy po prostu musieli to przetrwać, dopóki nie zedrze sobie głosu – powiedział. – Nie może przecież wyć bez końca.

– On ma spiżowe gardło i odlaną z żelaza krtani – oświadczył rozwścieczony Norris. – Pozostaje nam nie tracić nadziei i tolerować go jako jednego z naszych przyjaciół. A wtedy będzie nadal ćwiczył gardło aż do dnia sądu ostatecznego.

Zapadło ciężkie milczenie. Przez dwadzieścia minut jedli bez słowa. Nagle Connant poderwał się ze wściekłą furią.

– Siedzicie tak spokojnie jak gromada bałwanów – warknął. – Nic nie mówicie, za to oczy macie naprawdę pełne wyrazu. Przewracacie nimi bez przerwy, jakby były garścią szklanych kulek rzuconych na stół. Łypiecie ślepiami, raz je mrużycie, raz wybałuszacie i coś sobie szepczecie. A może dla odmiany byście pogapili się na coś innego?

– Posłuchaj, Mac, ty jesteś tu szefem. Powyświetlajmy filmy przez resztę wieczoru. Oszczędzaliśmy je, żeby starczyły na dłużej. Na jakie dłużej? Kto będzie oglądał te filmy? Obejrzyjmy je, póki jeszcze jesteśmy w stanie, popatrzmy na coś innego, zamiast wciąż gapić się na siebie.

– Świetny pomysł, Connant. Ja osobiście mam wielką ochotę zmienić to co jest na coś innego, obojętnie na co.

– Podkreć głos, Dutton. Może uda się zagłuszyć te religijne pienia – rzucił Clark. – Tylko nie... – odezwał się cicho Norris – nie gaś naraz wszystkich świateł.

– Światła będą zgaszone – sprzeciwił się McReady. – Wyświetlimy wszystkie filmy rysunkowe, jakie tu są. Nie macie chyba nic przeciwko obejrzeniu starych kreskówek?

– Słodkie przedstawienie dla grzecznych dzieci. Akurat jestem w nastroju. – McReady odwrócił się, by spojrzeć na mówiącego: chudego, wręcz wymizerowanego mieszkańca Nowej Anglii, nazwiskiem Caldwell. Ten, wolno nabijając sobie fajkę, mrugnął znacząco do McReady’ego.

Olbrzym z brązu roześmiał się z przymusem.

– W porządku, Bart, wygralesz – powiedział. – Nie jesteśmy może specjalnie w nastroju do oglądania Popeya i Kaczora Donalda, ale to zawsze coś.

– Zagrajmy w inteligencję – zaproponował Caldwell. – Rysuje się linie na kawałku papieru i zapisuje klasy – na przykład, zwierzęta. Myślę, że będzie z tego znacznie lepsza rozrywka. Zabawa w inteligencję to coś, czego potrzebujemy teraz znacznie bardziej niż filmów. Może ktoś ma ołówek, żeby narysować linie?

– McReady usiłuje właśnie coś znaleźć – odparł spokojnie Van Wall. – Mamy tu zwierzęta na literę „p”. Więcej nie potrzebujemy.

– To znaczy „pomyleni”? – zachichotał Caldwell. – Clark, pomogę ci z tymi garami, żebyśmy mogli uruchomić nasz mały fotoplastykon – powiedział, powoli wstając z miejsca.

Dutton, Barclay i Benning, zajmujący się projektorem oraz urządzeniami nagłaśniającymi, pracowali w milczeniu. W tym czasie posprzątało budynek administracyjny, zebrano talerze i garnki. McReady przeciskał się powoli w stronę Van Walla, aż w końcu usiadł obok niego na pryczy, oparty plecami o ścianę.

– Zastanawiałem się, Van – powiedział z krzywym uśmiechem – czy zgłosić już teraz swój pomysł. Zapomniałem, że tamci i tak potrafią odczytywać myśli. Mam

niejasną wizję czegoś, co mogłoby zadziałać. Jest ona jeszcze zbyt mglista, aby zawracać sobie nią głowę. Prowadź dalej ten pokaz, a ja spróbuję doszukać się jakiejś logiki. Zajmuję tę pryczę.

Van Wall spojrział w górę i skinął głową: Ekran filmowy znajdzie się praktycznie w tej samej linii, co jego prycza, niemal niewidoczny i nie będzie go rozpraszał.

– Być może powinieneś nam powiedzieć, o czym myślisz – rzekł Van Wall. – W tej chwili tylko ci „obcy” wiedzą, co zamierzasz. Możesz stać się „obcym”, zanim przystąpisz do działania.

– To nie potrwa długo, jeżeli myślę dobrze. Tylko nie chcę już żadnych testów z psami i potworami. Lepiej będzie, jeśli przeniesiemy Coppera na pryczę bezpośrednio nade mną. On też nie będzie patrzył w ekran. – McReady wskazał ruchem głowy łóżko Coppera, z którego dochodziło ciche chrapanie. Garry pomógł im przenieść doktora.

McReady oparł się o pryczę i zapadł niemalże w trans koncentracji, usiłując obliczyć szanse, przemyśleć metody działania. Prawie nie dotarło do niego, że pozostali roztasowali się w milczeniu i że ekran rozbłysł. Póki nie włączył się podkład muzyczny, słychać było szaleńcze krzyki i chrapliwe pienia religijne modlącego się Kinnera. Światła w pomieszczeniu były wygaszone, ale duża płaszczyzna jasnego ekranu odbijała wystarczająco wiele światła, by było niemal widno. Poruszające się gorączkowo ludzkie oczy błyszczały jak iskierki. Kinner krzyczał, modląc się ciągle; jego głos stanowił ochryply akompaniament mechanicznej muzyki. Dutton przekręcił wzmacniacz.

Okrzyki Kinnera trwały już od tak dawna, że początkowo McReady niezbyt jasno uświadamiał sobie, iż czegoś mu brakuje. Cały czas, kiedy tak leżał tuż na wprost korytarza wiodącego do Kosmicznego Domu, głos Kinnera dochodził do niego całkiem wyraźnie pomimo głośnego tła dźwiękowego filmowych obrazów. Nagle uderzyło go, że głos ten ucichł.

– Dutton, wyłącz dźwięk – odezwał się McReady, siadając nagle.

Obraz migotał przez chwilę bezgłośnie i dziwnie bez sensu w nagłej, głębokiej ciszy. Wiatr, coraz silniejszy, zanosił się gdzieś w górze melancholijnym płaczem i huczał w kominie pieca.

– Kinner przestał – powiedział cicho McReady.

– Na litość boską, włącz ten dźwięk. On mógł przestać, bo chciał słuchać – warknął Norris.

McReady wstał i wyszedł na korytarz. W przeciwległym końcu pomieszczenia Barclay i Van Wall podnieśli się z miejsc i podążyli za nim. Kiedy Barclay przecinał snop światła wciąż działającego projektora, na jego plecach zatańczyły migoczące kształty. Dutton nagłym ruchem włączył światło i obraz znikł.

Norris stał przy drzwiach, tak jak prosił McReady. Garry usiadł spokojnie na pryczy przy samym wyjściu, popychając Clarka, by się posunął. Reszta została dokładnie tam gdzie przedtem. Tylko Connant spacerował tam i z powrotem w tym samym niezmiennym rytmie.

– Jeżeli będziesz to robił, Connant – splunął Clark – damy sobie radę bez ciebie, czy jesteś człowiekiem, czy nie. Skończ wreszcie to przekłete tupanie!

– Przepraszam. – Fizyk usiadł na pryczy i w zamyśleniu oglądał czubki swoich butów. Zapadła cisza przerywana jedynie odgłosem wiatru. Minęło prawie pięć minut, a raczej pięć wieków, zanim McReady pojawił się w drzwiach.

– Widocznie do tej pory mieliśmy tu za mało nieszczęść – oświadczył. – Ktoś usiłował nas wyręczyć. Kinner ma nóż w gardle i prawdopodobnie dlatego przestał śpiewać. Mamy potwory, pomyłonych i podrzynaczy gardeł. Czy wymyślisz jeszcze coś na „p”, Caldwell? Jeśli tak, to pewnie niedługo się tu pojawi.

## 11

– Czy Blair jest na wolności? – padło pytanie.

– Nie. Chyba, że wyfrunął. Jeżeli mielibyśmy podejrzewać, skąd nadeszła ta szlachetna pomoc, ten oto przedmiot może wiele wyjaśnić. – Van Wall trzymał zawinięty w tkaninę nóż o cienkim ostrzu, długości około jednej stopy. Drewniany trzonek był do połowy upalony; pozostał na nim ślad fajerek.

– Ja to zrobiłem dziś po południu – powiedział Clark, wpatrując się w nóż. – Zapomniałem o tym cholerstwie i zostawiłem je na piecu.

– Poczułem swąd, jak pamiętasz – Van Wall skinął głową. – Wiedziałem, że jest w kuchni.

– Ciekaw jestem – zaczął Benning, rozglądając się ostrożnie po całym towarzystwie – ile mamy jeszcze potworów? Jeżeli komuś udało się stąd wymknąć, dotrzeć z kina do kuchni, a potem pójść do Kosmicznego Domu i wrócić... bo przecież tu jest. Tak, wszyscy tu są. No cóż, jeżeli zrobił to wszystko ktoś z naszej paczki...

– Może zrobił to potwór? – spokojnie zasugerował Garry. – Istnieje taka możliwość.

– Potworowi, jak zauważyłeś dziś rano, zostali już tylko ludzie do naśladowania. Czy chciałby uszczuplić swój, że tak powiem, zapas? – wskazał Van Wall. – Nie, po prostu jest wśród nas zwyczajna, ordynarna wesz: mamy do czynienia z mordercą. Normalnie nazwalibyśmy go nieludzkim mordercą, ale teraz musimy go jakoś inaczej zaklasyfikować. Mamy więc morderców nieludzkich i mamy morderców ludzkich. A przynajmniej jednego.

– Jest o jedną istotę ludzką mniej – stwierdził cicho Norris. – Być może potwory osiągnęły teraz równowagę sił.

– Mniejsza o to – westchnął McReady i zwrócił się do Barclaya. – Barclay, mógłbyś wciągnąć ten swój przyrząd elektryczny? Mam zamiar upewnić się...

Barclay skręcił w głąb korytarza po swoje urządzenie, podczas gdy McReady i Van Wall zmierzali z powrotem do Kosmicznego Domu. Po upływie około trzydziestu sekund dołączył do nich Barclay.

Korytarz prowadzący do Kosmicznego Domu był kręty jak prawie wszystkie korytarze w Wielkim Magnesie i Norris ponownie stanął w wejściu. Usłyszeli nagle trochę przytłumiony krzyk McReady'ego. Dochodziły do nich odgłosy szybkich, zaciekłych ciosów i głuche dźwięki, a w końcu wołanie „Bar... Bar...”. Dziwacznego, dziko miauczącego wrzasku ucichł, zanim jeszcze biegnący Norris zdążył dotrzeć do zakrętu korytarza.

Na podłodze leżał Kinner – a raczej coś, co przedtem było Kinnerem, rozcięte na dwie połowy olbrzymim nożem, który trzymał McReady. Meteorolog stał oparty o ścianę, z ociekającym krwią nożem w ręku. Van Wall wił się na podłodze jęcząc i na wpół przytomnie skubał sobie brodę. Barclay, z nie dającym się opowiedzieć dzikim błyskiem w oczach, opuścił

śmiercionośną broń i dźgał nią nieprzerwanie.

Ręce Kinnera pokryte były przedziwną sierścią, ciało powykręcało się. Palce stały się krótsze, głowa zaokrągliła, paznokcie przekształciły w niemal trzycalowe zrogowaciałe szpony o matowej czerwonej barwie, twarde jak stal i ostre jak brzytwa.

McReady podniósł wzrok, popatrzył na nóż i wypuścił go z ręki.

– Ktokolwiek to zrobił, może śmiało mówić – powiedział. – To nieludzki morderca, ponieważ zamordował istotę nieludzką. Przysięgam na wszystko, co święte, że kiedy tu przybyliśmy, na podłodze leżał martwy już Kinner. Ale kiedy zwłoki wyczuły, że będziemy razić je prądem, zaczęły się zmieniać.

– O Boże, te stwory potrafią nieźle działać – powiedział Norris, wpatrując się niepewnie w podłogę. – Bogowie! Siedział tu godzinami, klepiąc modlitwy do Boga, którego nienawidził! Chrapliwym głosem wywrzaskiwał pieśni religijne – hymny o kościele, którego nigdy nie znał. Doprowadzał nas do szału bezustannym wyciem... W porządku. Obojętne kto to zrobił, niech mówi. Sprawca nie zdawał sobie sprawy, że wyświadcza obozowi przysługę. Chcę wiedzieć do diabła, w jaki sposób on się stąd wydostał, przez nikogo nie zauważony. Pomogłoby to nam mieć się na baczności.

– Te jego wrzaski, śpiewy... Nawet dźwięk z projektora nie mógł go zagłuszyć. Clark wzdrygnął się. – To był potwór.

– Ach! – odezwał się Van Wall, jakby nagle wszystko zrozumiał. – Siedziałeś przecież tuż przy drzwiach! I prawie z tyłu ekranu.

– On... ten stwór jest teraz spokojny. – Clark pokiwał głową w milczeniu. – Jest martwy. Nieważne, potwór czy człowiek, był martwy.

– Chłopaki, oto Clark, jedyny, o którym wiemy, że jest człowiekiem! Oto Clark, który udowodnił, że jest istotą ludzką, bo usiłował popełnić morderstwo. I nie udało mu się – chichotał McReady. – Czy pozostali mogliby powstrzymać się przez chwilę od prób dowodzenia, że są ludźmi? Sądzę, że możemy przeprowadzić jeszcze jeden test.

– Test! – radośnie zareagował Connant, po czym wykrzywił twarz na znak rozczarowania. – Przypuszczam, że znów będzie na dwoje babka wróżyła.

– Nie – powiedział stanowczo McReady. – Patrzcie pilnie i uważajcie. Wejdźcie do budynku administracyjnego. Barclay, przynieś swoje urządzenie elektryczne. Niech ktoś... ty Dutton, trzymaj się blisko Barclaya, aby go dopilnować. Obserwujcie sąsiadów, bo nieważne, do diabła, skąd te potwory się wzięły, ale ja mam coś na nie i one o tym wiedzą. Więc staną się niebezpieczne!

Napięcie wzrosło nagle. Każdy poczuł wiszące w powietrzu miazdzące zagrożenie. Obserwowano się bacznie nawzajem, bardziej przenikliwie niż kiedykolwiek. „Czy ten obok mnie jest potworem?”, zadawano sobie pytania.



– Co to ma znaczyć? – spytał Garry, kiedy znaleźli się ponownie w głównym pomieszczeniu.  
– Jak długo to potrwa?

– Dokładnie nie wiem – odparł McReady głosem pełnym gniewnej determinacji. – Za to wiem, że test zadziała i to jednoznacznie. Jego wynik zależy od głównych cech potworów, a nie od nas. Przypadek „Kinnera” właśnie mnie o tym przekonał. – Mocny, masywny McReady stał nieruchomo jak posąg z brązu, wreszcie znów całko – wicie pewny siebie.

– To – zaczął Barclay, podrzucając w rękę oprawną w drewno broń zakończoną dwoma ostro zakończonymi przewodami pod napięciem – będzie raczej konieczne. Ja się tym zajmę. Czy mamy zapewniony dopływ prądu?

– Automatyczny zasilacz jest naładowany – potwierdził Dutton skinieniem głowy. – Siłownia gazowa w pogotowiu. Uruchamiałem ją z Van Wallem do wyświetlania filmu. Sprawdzaliśmy ją dokładnie kilka razy. Wszystko, czego dotkną te druty, zginie – zapewnił groźnie. – Ja to wiem.

Doktor Copper poruszył się nieznacznie na swojej pryczy, przecierając dłońmi powieki. Usiadł powoli, zmrużył zamglone pod wpływem lekarstwa i niedawnego snu oczy, rozszerzone nie dającą się opisać zgrozą narkotycznych koszmarów.

– Garry – wymamrotał – Garry, posłuchaj. Samoluby... przyszły z piekła... piekielnie samolubne... powiedziałem samo... tak? Co ja chciałem powiedzieć? – Opadł na pryczę i łagodnie zachrapał.

McReady spojrział na niego zamyślony.

– Wkrótce się dowiemy. – Powoli skinął głową. – Samolubny to słuszne określenie. Mogłeś o tym rozmyślać na wpół śpiąc. Zastanawiam się wciąż, jakie mogłeś miewać sny. Ale wszystko jest w porządku. „Samolubny” to właściwe słowo. One muszą być takie, sam to rozumiesz. – Zwrócił się do obecnych, milczących mężczyzn, wilczym wzrokiem obserwujących w napięciu każdego z sąsiadów. – Samolubne... no i, jak powiedział doktor Copper, każda część stanowi całość. Każdy kawałek jest sam dla siebie samowystarczalnym zwierzęciem.

To właśnie i jeszcze jedno tłumaczy całą sprawę. Krew nie kryje w sobie żadnych tajemnic. Jest taką samą normalną tkanką jak kawałek mięśnia albo kawałek wątroby. Ale nie zawiera aż tyle tkanki łącznej, chociaż składa się z milionów, nie, z miliardów żywych komórek.

Ponury uśmiech nastroszył brązową, olbrzymią brodę McReady’ego.

– Jest to w pewnym stopniu przekonujące. Jestem całkowicie pewien, że my, ludzie, nadal przeważamy liczebnie nad wami, odmieńcami. Odmieńcami, którzy tutaj stoicie. My posiadamy to, czego wasza rasa z innego świata najwyraźniej nie ma – nie udawany, lecz wrodzony instynkt, porywający, nie gasnący, autentyczny zapach. Będziemy walczyć, walczyć z okrucieństwem, które możecie próbować naśladować, ale nigdy nam w nim nie dorównacie! Jesteśmy istotami ludzkimi. Jesteśmy prawdziwi. Wy jesteście imitacjami, fałszywymi aż do jądra komórki.

W porządku. Teraz wykładamy karty. Wiecie, o czym mówię. O tym waszym odczytywaniu myśli. Ukradliście mi myśl z mojego mózgu. I nic z nią nie możecie zrobić, bo ona tu pozostaje.

Ujawnijmy ją. Krew jest tkanką. Oni muszą krwawić. Jeżeliby skaleczeni nie krwawili, znaczyłoby to, na miły Bóg, że są sztuczni! Sztuczni z piekła! Jeżeli będą krwawić, wówczas ta wypływająca z nich krew stanowić będzie odrębną jednostkę – nowo powstałego osobnika o prawidłowej budowie. Oni wszyscy są odrębnymi osobnikami powstałymi z rozszczepienia jednej pierwotnej istoty! Zrozumiałeś, Van? Znasz już odpowiedź, Bar?

– Krew... krew się nie podda – zaśmiał się cicho Van Wall. – Jest nowym osobnikiem, usilnie dążącym do ochrony własnego życia, tego, którym żyje osobnik macierzysty – główna masa, która uległa rozszczepieniu. Krew będzie żyła i usiłowała wydostać się z – powiedzmy – rozgrzanej igły!

McReady wziął ze stołu skalpel. Z szafki wyjął stojak z probówkami, małą lampkę spirytusową i długi platynowy drut umieszczony w niedużej szklanej rurce. Uśmiech ponurej satysfakcji wypełził mu na usta. Rozglądał się przez chwilę po otaczających go osobach. Barclay i Dutton posuwali się wolno w jego kierunku, z oprawnym w drewno elektrycznym przyrządem w pogotowiu.

– Dutton, może stanąbyś w miejscu, gdzie to podłączyłeś – zarządził McReady. – Żeby mieć pewność, że żaden... stwór tego nie rozłączy.

Dutton cofnął się.

– No to, Van, może będziesz pierwszy? – powiedział.

Poblady Van Wall zrobił krok w przód. McReady delikatnie i precyzyjnie przeciął mu żyłę u nasady kciuka. Van Wall drgnął nieznacznie, a potem mocno stał w miejscu, aż pół cala jasnej krwi zebrało się w probówce. McReady wstawił probówkę do stojaka, a Van Wallowi podał kawałek ałunu i buteleczkę z jodyną.

Van Wall przyglądał się próbie, stojąc bez ruchu. McReady rozgrzał platynowy drut nad płomieniem lampki spirytusowej, a następnie zanurzył go w probówce. Drut zasyczał cicho. Test został powtórzony pięciokrotnie.

– Człowiek – McReady westchnął i wyprostował się. – Jak dotąd, moja teoria jeszcze się nie sprawdziła, ale nie tracę nadziei. Nie tracę nadziei... A tak w ogóle, nie przyglądajcie się temu zbyt pilnie. Bez wątpienia są wśród nas jakieś istoty niepożądane. Van, zmieniłbyś Barclaya przy przełączniku? Dziękuję. W porządku, Barclay, niech mi będzie wolno wyrazić nadzieję, że pozostaniesz z nami. Cholernie dobry z ciebie chłopak.

Barclay uśmiechnął się niepewnie. Potem skrzywił się, czując cięcie ostrego skalpela. Wreszcie zaśmiał się szeroko i odzyskał swoją broń.

– Pan Samuel Dutt... Bar!!!

W tej samej sekundzie nastąpił wybuch napięcia. Teraz, bez względu na to, ile diabelstwa

mogły mieć w sobie potwory, ludzie im dorównali. Barclay nie miał nawet szansy, aby ruszyć bronią, kiedy gromada mężczyzn spadła na stwora, który do niedawna brany był za Duttona. Stwór obrzydliwie miauczał, prychał, próbował wypuszczać kły, ale został rozerwany, rozdarty na kawałki. Został zmiażdżony, rozszarpany bez użycia noży czy jakiegokolwiek innej broni.

Zwycięzcy podnieśli się z pałającymi oczyma, pozornie bardzo opanowani. Dziwnie zesnurowane usta zdradzały pewne zdenerwowanie.

Barclay przejechał po szczątkach elektryczną bronią. Kawałki tliły się i śmierdziały. Żrący kwas, którym Van Wall polał każdą rozlaną kroplę krwi, wydzielał drażniące, wywołujące kaszel opary.

Twarz McReady'ego wykrzywił grymas. Jego głęboko osadzone oczy płonęły, rozbiegane.

– Być może – odezwał się po cichu – nie doceniałem ludzkich zdolności, kiedy mówiłem, że żaden człowiek nie mógłby dorównać okrucieństwu, jakie miał w oczach ten stwór. Żałuję, że nie mieliśmy okazji potraktować potworów w bardziej odpowiedni sposób. Na przykład stosując wrzący olej albo stopiony ołów, albo chociaż przypiekanie ich powoli w kotle. Kiedy pomyślę, jakim człowiekiem był Dutton...

Ale mniejsza o to. Czyżby moją teorię potwierdził ten... ten, który wiedział? No cóż, Van Wall i Barclay zostali wypróbowani. Wobec tego spróbuję udowodnić wam to, czego ja jestem pewien. Tego, że również jestem człowiekiem. – McReady zanurzył skalpel w czystym alkoholu, opalił metalowe ostrze i fachowo przeciął swój kciuk u nasady.

Po dwudziestu sekundach podniósł wzrok znad pulpitu na wyczekujących obserwatorów. Przybywało wokół roześmianych szeroko twarzy, śmiejących się przyjaźnie, chociaż oczy mówiły jeszcze coś innego.

– Connant – zaśmiał się cicho McReady – miał rację. Psy, które przyglądały się tamtemu stworowi na zakręcie korytarza, nie miały nic przeciwko niemu. Zastanawiam się, dlaczego uważamy, że tylko wilcza krew niesie za sobą okrucieństwo? Być może wilk jest lepszy, kiedy idzie o odruchową napastliwość, jednak po tych siedmiu dniach... porzućcie wszelką nadzieję, ci, którzy staliście się wilkami! Nie traćmy czasu. Connant, mógłbyś tu podejść...

... I znów Barclay okazał się zbyt powolny. Kiedy razem z Van Wallem dokończył dzieła, znów przybyło roześmianych twarzy, a napięcie opadło.

– Connant był jednym z najwspanialszych ludzi, jakich tu mieliśmy. Jeszcze pięć minut temu przysiągłbym, że jest człowiekiem – mówił Garry ściszym, pełnym gorczy głosem. – Te przeklęte stwory są czymś więcej niż imitacją. – Wzdrygnął się i usiadł z powrotem na prycy.

A po trzydziestu sekundach krew Garry'ego wzbraniała się już przed rozgrzanym platynowym drutem i szamotała się, by ująć z próbówki. Szamotała się szaleńczo i później, kiedy zdziczała nagle, czerwonoooka, rozplywająca się imitacja Garry'ego wszystkimi siłami próbowała umknąć przed węzowym językiem nacierającej broni Barclaya, bladego i zlanego potem. Stwór

w probówce pisnął ciekim głosem, kiedy McReady wrzucał go do pieca z rozżarzoným węglem.

## 12

– Ostatni? – Siedzący na pryczy doktor Copper popatrzył w dół nabiegłymi krwią, smutnymi oczyma. – Było ich czterestu.

McReady przytaknął szybkim skinieniem głowy.

– Gdybyśmy tylko potrafili na zawsze zapobiec ich rozprzestrzenianiu; chciałbym nawet te imitacje mieć tu z powrotem – powiedział. – Komandora Garry’ego, Connanta, Duttona, Clarka...

– Gdzie oni to wszystko zabierają? – Copper wskazał na nosze, które wynosili Barclay i Norris.

– Na zewnątrz, na lód. Tam, gdzie zrzucili piętnaście rozbitych skrzyń, pół tony węgla, a teraz dodadzą jeszcze dziesięć galonów nafty. Każdą rozlaną kroplę krwi, każdy rozszarpany kawałek polaliśmy kwasem. A teraz spopielimy te szczątki.

– To wygląda na starannie opracowany plan – stwierdził znużony Copper. Ciekaw jestem... nie powiedziałaś, czy Blair...

– Zapomnieliśmy o nim! – zreflektował się McReady. – Mieliliśmy tyle innych zajęć! Zastanawiam się... jak sądzisz, czy możemy go teraz wyleczyć?

– Jeżeli... – zaczął doktor Copper i znacząco przerwał.

– Nawet, jeśli jest obłąkany – McReady zreflektował się po raz drugi – naśladował Kinnera i jego histeryczne modły. Van, musimy urządzić wyprawę do budy Blaira – zwrócił się do siedzącego przy długim stole Van Walla.

Van spojrzał nań przelotnie. Zmarszczył brwi, a potem sobie przypomniał.

– Niech lepiej Barclay też pójdzie – powiedział, skinąwszy głową. – On zakładał zabezpieczenia i może wymyślić, jak dostać się do środka, żeby nie wystraszyć zbytnio Blaira.

Trzy kwadransy na trzydziestostopniowym mrozie. Nad głowami wydęta czasza zorzy polarnej. Zmierzch trwał już prawie dwanaście godzin; płonął na północy jak iskrzące się pod ich nartami białe kryształki śniegu. Wiatr, wiejący z prędkością pięciu mil, tworzył śnieżne zaspę zwrócone w kierunku północno-zachodnim. Trzeba było aż trzech kwadransów, żeby dotrzeć do zakopanej w śniegu budy. Z komina nie wydobywał się dym. Mężczyźni przyspieszyli.

– Blair! – ryknął Barclay prosto w wiatr jeszcze z odległości stu jardów od celu. – Blair! – powtórzył.

– Zamknij się – powiedział cicho McReady. – Szybciej. Mógł podjąć próbę długiej wędrówki. Jeśli przyjdzie nam podążyć za nim... bez samolotów, z uszkodzonymi traktorami...

– Czy potwór ma taką samą wytrzymałość jak człowiek?

– Złamana noga nie powstrzymałaby go na dłużej niż minutę – odparł McReady. Nagle Barclay krzyknął i wskazał wysoko w górę. Jakiś skrzydlaty stwór, słabo widoczny na oblanym światłem brzasku niebie, zataczał kręgi z nieopisaną gracją i lekkością. Olbrzymie białe skrzydła

przechyliły się łagodnie i ptak; obserwując ich w milczeniu, przeleciał nad nimi majestatycznie.

– Albatros – powiedział cicho Barclay. – Pierwszy w tym roku. Z jakiejś przyczyny zawędrował w głąb lądu. Jeżeli potwór jest na wolności...

Norris pochylił się na lodzie, pospiesznie szarpiąc na sobie ciężkie, chroniące od wiatru ubranie. Wyprostował się. Poły skafandra zatrzepotały. W dłoni Norrisa ukazała się groźna sinostalowa broń. Zagrzmiała wyzwaniem rzuconym białej antarktycznej ciszy.

Przybysz wrzasnął skrzekliwie w powietrzu. Szaleńczo pracował olbrzymimi skrzydłami, kiedy wypadające z ogona masy piór zaczęły szybować ku ziemi. Norris ponownie wystrzelił. Ptak oddalał się szybko niemal po linii prostej. Znów wrzasnął, spadło jeszcze więcej piór, a potem trzepocząc skrzydłami wzbił się ponad krawędź lodowego zwaliska i zniknął.

Norris dogonił pozostałych.

– Nie wróci – powiedział zziębnięty.

Barclay gestem nakazał mu milczenie. Przez drzwi budy było przedziwne, wściekle niebieskie światło. Z wnętrza dobiegało bardzo ciche, delikatne mruczenie, łącząc się z brzękiem i szczękiem narzędzi. Odgłosy te świadczyły o jakimś szalonym pośpiechu.

McReady zbladł.

– Boże, ratuj, jeżeli ten stwór ma... – chwycił Barclaya za ramię, wykonując palcami ruchy naśladujące cięcie i wskazując linki sterownicze, które blokowały drzwi.

Barclay wyciągnął z kieszeni szczypce do cięcia drutu i bezgłośnie uklęknął przy drzwiach. Przecinane druty powodowały nieznośny hałas w absolutnym spokoju antarktycznej ciszy. Jedynie ten dziwny, melodyjny, delikatny pomruk, dobywający się z budy, wraz z osobliwie gorączkowymi uderzeniami pobrzękujących i stukających narzędzi, zagłuszał odgłosy wydawane przez przybyłych.

McReady zajrzał do środka przez szczelinę w drzwiach. Chrapliwie wciągnął powietrze. Wielkie palce zacisnął boleśnie na ramieniu Barclaya. Meteorolog cofnął się.

– To nie jest... Blair – wyjaśnił ściszym głosem. – To coś kłęczy na czymś na pryczy. – Na czymś, co wisi. Cokolwiek to jest, wygląda jak plecak... i się unosi.

– Wszyscy razem – powiedział groźnie Barclay. – Nie. Norris, zaczekaj i zabierz to swoje żelastwo. Może być uzbrojony.

Potężne ciało Barclaya wspomagane przez gigantyczną siłę McReady'ego wyważyło drzwi. Wewnątrz, barykadująca wejście prycza wściekle zaskrzypiała i z trzaskiem zmieniła się w kupę drewna na podpałkę. Drzwi wyleciały z wyłamanych zawiasów, a do środka wpadły drewniane kawałki futryny.

Stwór podskoczył w górę jak niebieska gumowa piłka. Jedna z czterech mackowatych rąk rozwinęła się jak atakujący nóż. W dłoni o siedmiu mackach zamigotał wzniesiony w górę jakby sześciocalowy ołówek z mieniającego się, świecącego metalu. Wąskie jak kreseczki usta

wykrzywił grymas nienawiści, odsłaniając wężowe kły. Czerwone oczy rozjarzyły się wściekle.

Rewolwer Norrisa zagrział w pomieszczeniu. Pełna nienawiści twarz wykrzywiła się w grymasie cierpienia. Rozciągnięte macki cofnęły się. Ze srebrzystego metalowego przedmiotu, który potwór trzymał w ręku, pozostały szczątki. Dłoń o siedmiu mackach stała się masą rozszarpanego ciała spływającego zielonkawożółtą posoką. Rewolwer zagrział jeszcze trzy razy. Na miejscu trojga oczu pojawiły się wydrażone ciemne dziury. Norris cisnął w twarz potwora pustą już bronią.

Stwór ryknął z dziką nienawiścią. Machające na oślep macki dotknęły nie widzących już oczu. Przez chwilę rzucał się po podłodze i wściekle walił dookoła mackami. Jego ciało szarpały drgawki. Potem, slaniając się, powstał, poruszając odrażająco ciekącymi, ślepymi oczyma. Pozbywał się zmiążdżonego ciała, zrzucając z siebie kleiste kawałki.

Barclay, zataczając się ruszył naprzód z toporem w ręku. Płaskim uderzeniem strzaskał skroń przeciwnika. Niezniszczalny potwór upadł ponownie i znów tłukł dookoła mackami. Nagle Barclay zwalił się jak długi, porwany w uścisk żywej, rozszalałej pętli. Potwór rozkładał się podczas tego zwarcia; rozpalona do białości lina wżerała się żywym ogniem w ręce Barclaya. Ten, w szalonym wysiłku, zdarł z siebie to paskudztwo i teraz trzymał ręce z daleka, tak by napastnik nie mógł ich dosięgnąć. Oślepy potwór nie przestawał macać; darł mocny, wiatroszczelny skafander Barclaya w poszukiwaniu nagiego ciała – ciała, które mógłby przemienić...

Olbrzymi palnik, który przyniósł McReady, wydał jakby uroczyste chrząknięcie. Nagle zadudnił gardłowo. Potem jakby zaśmiał się bulgocząc i wyrzucił z siebie niebieskobiały, trzystopowy jęzor ognia. Leżący na podłodze potwór wrzasnął, walił na oślep mackami, wił się i konał w kipiącym gniewem ogniu palnika. Pełzał i skręcał się na podłodze, wrzeszczał przeraźliwie, miotał się szaleńczo niczym spętane zwierzę. McReady przez cały czas raził go palnikiem, przytkniętym niemal do jego twarzy. Martwe oczy nadaremnie płonęły i kipiały. Rozszalały potwór czołgał się jeszcze i wył.

Macka wypuściła drapieżny szpon i skurczyła się w ogniu. McReady ruszył pewnie do planowego, bezlitosnego ataku. Bezradny, rozwścieczony potwór cofnął się przed pomrukującym palnikiem i pieszczotliwym, liżącym jęzorem ognia. Przez chwilę buntował się jeszcze. Wrzasnął z nie ludzką nienawiścią, dotknąwszy lodowatego śniegu. Potem padł pod naporem zwęglającego ciała tchnienia palnika. Pochłonał go swąd spalenizny, który bezpowrotnie zniknął w antarktycznych śniegach. Lodowaty wiatr szarpał jęzorem ognia lampy. Potwór opadł bezwładnie. Z jego ciała buchnęła smuga oleistego, śmierdzącego dymu...

McReady podeszedł w milczeniu do budy. Barclay czekał przy wejściu.

– Nie ma nic więcej? – spytał ponuro olbrzymi meteorolog.

– Nie ma – Barclay potrząsnął przecząco głową. – Nie rozszczepił się?

– Zajmował się czymś innym – zapewnił go McReady. – Kiedy go zostawiłem, był zarządzającym się węglem. Cóż on takiego robił?

– Okazaliśmy się bardzo rozsądni – ironicznie zaśmiał się Norris. – Rozwalić iskrowniki, żeby unieruchomić samoloty. Wypruć rury kotłowe z traktorów. I zostawić potwora samego w budzie przez tydzień. Samego i w spokoju.

McReady zajrzał dokładniej do wnętrza. Mimo wyrwanych drzwi powietrze było tam wilgotne i gorące. Daleko w głębi leżały na stole zwoje drutu, nieduże magnesy, szklane rurki i lampy radiowe. Na środku znajdowała się bryła nie ociosanego kamienia. Z jego wnętrza biło zalewające pomieszczenie światło, wściekle niebieskie, bardziej niż oślepiający blask łuku elektrycznego. To stamtąd dochodził lekki szmer. W drugim końcu budy znajdował się jakiś mechanizm z kryształowego szkła, wydmuchanego z niewiarygodną starannością i precyzją, metalowe płytki i dziwaczna, migocząca, niematerialna kula.

– Co to takiego? – McReady podszedł bliżej.

– Zostaw, trzeba to zbadać – mruknął Norris. – Ale domyślam się mniej więcej, co to może być. Energia atomowa. To coś po lewej stronie – to gustowny drobiazg do robienia tego, co ludzie próbowali robić za pomocą stutonowych cyklotronów t tak dalej. Oddziela neutrony od ciężkiej wody, którą potwór uzyskiwał ze znajdującego się naokoło lodu.

– Skąd wziął te wszystkie... Aha, to jasne. Potwora nie można przecież zamknąć ani wypuścić. Przeniknął do schowków z aparaturą. – McReady utkwiał wzrok w przyrządach. – O Boże, jakie umysły musiała mieć rasa...

– Sądzę, że ta migocząca kula jest czystą energią. Neutrony można czerpać z dowolnej materii, a potwór chciał mieć ich zapas. Wystarczy poddać działaniu neutronów dwutlenek krzemu, wapń, beryl – prawie obojętnie co – a energia atomowa zostanie wyzwolona. Ten aparat to generator atomowy.

McReady nagłym szarpnięciem wyciągnął z kieszeni termometr.

– Tu jest blisko pięćdziesiąt stopni mimo braku drzwi – stwierdził. – Nasze ubrania chronią nas do pewnego stopnia przed temperaturą, ale mimo to już się pocę.

– Światło jest zimne – skinął głową Norris. – Sprawdziłem to. Ciepło wydziela ta spirala ogrzewająca pomieszczenie. Miał całą energię, jaką chciał. Mógł sprawić, żeby było tu ciepło i przyjemnie, na miarę wyobraźni swojej rasy. Co powiesz na kolor tego światła?

– Odpowiedź pochodzi spoza naszego układu – skinął głową McReady. – Z gorętszej planety, z której przybyli Oni, a która okrąży jaśniejsze i błękitne słońce.

McReady popatrzył przez otwór drzwi na smugę oleistego dymu, który buchał i rozsnuwał się na wszystkie strony, podrywany podmuchami niosącego śnieg wiatru.

– Więcej wizyt już chyba nie będzie – powiedział. – Wylądował tu przez czysty przypadek i było to dwadzieścia milionów lat temu. Po co on to wszystko zrobił? – Wskazał ruchem głowy



na przyrządy.

– A czy zauważyłeś, czym był zajęty, kiedy przyszliśmy tutaj? – zaśmiał się cicho Barclay. – Spójrz na sufit.

Urządzenie, przypominające plecak, zrobione ze spłaszczonych puszek po kawie, zwisających pasków materiału i skórzanych rzemieni, przylegało do sufitu. Wewnątrz paliło się jaskrawo maleńkie serce wiecznej lampki. Przenikało płomieniem na wskroś drewniane belki, nie paląc ich. Barclay podszedł bliżej, chwycił dwa zwisające paski i pociągnął silnie. Następnie owinął się wokół nich. Niewielki skok przeniósł go po łuku na drugą stronę pomieszczenia.

– Antygravitacja – powiedział cicho McReady.

– Antygravitacja – potwierdził skinieniem głowy Norris. – Tak, zdołaliśmy ich powstrzymać. Nie mieli samolotów ani ptaków. Ptaki nie przyleciały. Za to mieli puszki po kawie, części radiowe, szkło i warsztat mechaniczny na noc. I tydzień... Cały tydzień wyłącznie dla siebie. Jednym skokiem do Ameryki... dzięki antygravitacji zasilanej energią atomową materii. Udało nam się ich powstrzymać. Jeszcze pół godziny... Potwór zaciskał już paski urządzenia w taki sposób, żeby mógł je na siebie włożyć. My pozostalibyśmy w Antarktyce i strzelali do wszystkiego, co się rusza i przybywa z wielkiego świata.

– Albatros... – powiedział cicho McReady. – Czy sądzisz...

– Z tym urządzeniem, prawie gotowym? Z tą śmiertcioną bronią w ręku? Nie, z łaski Boga, który ma bardzo dobry słuch i słyszy nawet to, co się tutaj dzieje, i dzięki półgodzinnemu zapasowi czasu, zachowaliśmy nasz świat i wszystkie planety naszego układu. Antygravitacja, sam rozumiesz, i energia atomowa. Albowiem Oni przybyli spod innego słońca, z planety spoza naszego układu. Oni przybyli ze świata błękitnego słońca.